

# odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Łódź



NR 38 (1137) ROK XXII

23 WRZEŚNIA 1979 R.

CENA 3 ZŁ

TOMASZ SOLDENHOFF

## KONIEC STAREGO ZATORZA

Jeszcze kilkanaście lat temu, mógłbym napisać: w Łodzi za torami, czyli... na wsi. Ale dziś?

Dzisiaj tory kolejowe nie są już granicą. Miasto rozpięta się we wszystkich kierunkach, a chociaż za główny uważa się wschodni, nowe osiedla powstały i powstaną nie tylko na Widzewie, Janowie i Henrykowie. Za torami jest przecież nowa Retkinia, są Teofilów i Radogoszcz. A teraz za tory wylewają się nowe Chojny. Już w przyszłym roku staną pierwsze bloki następnego, wielkiego, łódzkiego osiedla: CHOJNY — KOMORNIKI.

To są narodziny innego już Zatorza. Ale na razie mieszczuch jedzie tam jeszcze jak na wieś. To bodaj ostatni rejon w Łodzi, gdzie wodę dowozi się beczkowozami. Tramwaj linii dwa z fantazją zakręca na pętlę u wylotu Kurczaków i przystaje, aby złapać oddech przed powrotną drogą. W niedzielne, wrześniowe południe, ciepły wietrzyk przywiewa z pół mile wonie, owce beczą, koguty pieją, a ludzie spacerują główną ulicą strojni z większą jeszcze elegancją, popatrując ciekawie na przybysz...

Na planie miasta tę część nazywa się Komornikami. Ale chociaż na planie to jedno i to samo, ulicę Kurczaki oddziela od Komornik niezbyt szeroki pas gruntów i drzew, a mieszkańcy obu stron podkreślają swą odrębność. Osiedle Kurczaki powstało na tzw. placach Zimmermana — z działek stanowiących uprzednio własność tego ziemskiego posiadacza. I — jak wiele podłódzkich osiedli — dostarczało ono zawsze miastu taniej siły roboczej. Komorniki zaś miały charakter na polu rolniczy; jeszcze przed wojną były tu gospodarstwa rolne i ogrodnictwa, hodowano zwierzęta i kwiaty. Mieszkał tu ludzie, dla których skromne kilka móg stanowiło często jedyne źródło utrzymania.

Dzisiaj centralnym punktem całych Komornik jest... cmentarz, którego osobliwość nazwać można kaplicę-

Dalszy ciąg na str. 6



„Nie ogrodzony, jeszcze wciąż powiększany plac budowy sięga pod ściany kilku domów, w których wciąż jeszcze żyją ludzie”.

Foto: R. Łucyszyn

W NUMERZE:

Co zrobiliście z nie-skończonością?

Matematycy twierdzą, że matematyka jest piękna, a „eleganckie”, „ładne” rozwiązanie to największa sztuka.

(MALGORZATA GOLICKA)

Komu „Mein Kampf”?

W tych dniach — zatem w czterdziestolecie wybuchu najkrwawszej i najokrutniejszej z wojen Sąd Najwyższy „Bundesrepublik”, tak zwany „Bundesgerichtshof” w Karlsruhe orzekł, że sprzedaż książki „Mein Kampf” jest legalna i z prawem nie koliduje.

(JAN BĄBIŃSKI)

Kościszukowcy w bojach o Pragę

Po godzinie 15 general Bawiuk zameldował dowódcy 125 Korpusu, generałowi Kuźmierzowi, że do godziny 13 oddziały 1 dywizji piechoty całkowicie opanowały przedmieście Warszawy — Pragę, z wyjątkiem niedużego, zaminowanego przyczółka w rejonie północnego mostu kolejowego naprzeciwko Cytadeli.

(LEON DUBICKI)

POZA TYM:

Troski i nadzieje uczzonego — socjalisty

Uczciwość, praca i talent

Z Dietrichem Scholze o polskiej literaturze

Dlaczego?

Recenzje, felietony

W świecie

„Załącznik”

Przed nami pięć tysięcy kilometrów, siedem granic, sześć krajów, kilka górskich łańcuchów, cztery stolice i jedno, wymarzone Morze Czarne... Z nami wysłużony, ale przygotowany do dalekiej podróży autokar „Wesołego Autobusu” z panem Bolkiem — kierowcą doskonałym, i z panem Zbyszkiem — kierowcą pełnym optymizmu.

Grupa wycieczkowa

Grupa wycieczkowa to zespół zupełnie przypadkowo dobranych ludzi, którzy przez trzy tygodnie mają stanowić zwarty kolektyw. To oczywiście niemożliwe. Są wśród nas dziennikarze z Łodzi, Warszawy, Opola i Zielonej Góry. Są wśród nas pesymiści i optymiści, malkontenci i entuzjaści, debiutanci i stare, turystyczne wygi. Są wreszcie ludzie w różnym wieku... Są tacy, którzy nigdy w życiu nie rozbiłali namiotu i tacy co rozbiłali namioty dwadzieścia lat temu.

Grupa wycieczkowa ma jeden wspólny interes — dojechać do celu. Wszystkie inne interesy są rozbieżne. Jednych interesują godziny otwarcia sklepów — innych godziny otwarcia muzeów. Jednych interesuje przygoda, relaks i bagaż wrażeń — innych interesuje sam bagaż. Niekoniecznie wrażeń.

Jest więc normalnie — jak w każdej typowej grupie wycieczkowej.

Kierownik grupy

Kierownik grupy to człowiek do którego wszyscy mają pretensje. Rychło zapomina się o tym, że to on od marca organizował, telefonował, zabiegał, kompletował zespół ludzi i zespół potrzebnych dokumentów...

Kierownik grupy ma jeden podstawowy cel — aby wszyscy byli zadowoleni. Jest to oczywiście cel nieosiągalny, ale kierownik grupy należy do entuzjastów, więc wierzy, że wszystko dobrze się skończy. I w ostateczności to pan Zenek ma rację, bo przecież już w tydzień po powrocie zle wrażeń się zatra, wyblakną i pójdą w zapomnienie — a przygoda i relaks pozostaną w pamięci o wiele dłużej niż czarnomorska opalenizna na skórze.

Więc ruszamy.

Medyka

Z Przemysła do Medyki — tylko 18 kilo-

metrów. Wyruszymy wczesnym rankiem, kupując na zapas polski chleb. Potem będzie go nam brakować. Bułgarska bułka z domieszką kukurydzianej maki przywozić nam będzie na pamięć nasz polski chleb, na który tak często narzekamy.

Przed przejściem granicznym sznur około pięćdziesięciu samochodów. Jak na sierpień — strasznie mało. Rumuńskie decyzje w sprawie zakupu paliwa za dolary ograniczyły ruch na trasie Medyka — Lwów — Siret. Już po po-

ją się pozycje... Kiedyś była tu stolica Królestwa Galicji i Lodomerii, Uniwersytet Jana Kazimierza należał do czołowych uczelni europejskich — Ossolineum odgrywało znaczną rolę w życiu naukowym... Ale i dziś jest to miasto prowincjonalne tylko w radzieckim wymiarze. W każdej innej — mniejszej — skali, mogłoby obdzielić swoją „prowincjonalnością” parę niezłych ośrodków. Jest pięć teatrów (w tym Polski Teatr Ludowy), trzy instytuty Akademii Nauk, wspaniałe muzeum malarstwa eu-

JERZY WILMAŃSKI

## PRZEZ SIEDEM GRANIC

wrocie przeczytam w jakimś turystycznym biuletynie, że w sierpniu gościło w Rumunii ok. 110 tysięcy turystów — wobec 400 tysięcy w roku ubiegłym.

Podjeżdżamy pod szlaban po cwaniacku, bo z boku — omijając osobowe samochody. Trochę na nas burczą, ale w końcu odprawa przebiega gładko i za chwilę jesteśmy po drugiej stronie szlabanu.

Po stronie radzieckiej wymiana tranzytowych czeków na ruble i za chwilę (no, może za dłuższą chwilę) ruszamy do Lwowa.

Lwów

Lwów jest miastem prowincjonalnym — od stolicy republiki dzieli go ponad 600 kilometrów. Minęły czasy gdy Skarbek budował tu gmach teatru — trzeci co do wielkości w ówczesnej Europie. Ale takie są prawa przemian — starzeją się ludzie i miasta, zmienia-

ropejskiego, gdzie spotykamy obrazy Jana Matejki i całej plejady polskich malarzy...

Idziemy pod pomnik Adama Mickiewicza. Na wysokim cokole stoi spizowy Poeta — nad nim Muza z rozpostartymi skrzydłami. Widać może mniej monumentalna, ale jakże romantyczna, jakże silnie tkwiąca w klimacie epoki.

Nocujemy w hotelu przy stadionie „Dynamo” — tuż obok piękny park. Niedaleko słynna ulica Pohulanka — pozostał tylko odcinek o tej nazwie — dziś ulica nosi imię Majakowskiego.

Wyjeżdżamy o świcie. Przed nami kilkaset kilometrów drogi — przez Mościska — Siret, do Bacau — już w Rumunii. Krótki postój w Tarnopolu — obiad i dalej w drogę. Po minięciu Czerniowców coraz częściej spotykamy bogato zdobione mozaikowe domki — znak, że zbliżamy się do granicy.

Zbliża się zatem granica, ale i zbliża się noc. Na przejściu w Mościskach widzimy jak w telewizji idzie film wojenny. Seans się prze-

ciąga — czekamy na happy end — kiedy wreszcie następuje, przychodzi kolej na nas. Wydajemy ostatnie ruble na szampian i koniak w bufecie obok komory celnej. Odprawa się przeciąga — zupełnie jak film przygodowy. Wreszcie około godziny pierwszej w nocy radziecki pogranicznik podnosi szlaban — droga wolna.

Rumunia

Wyjeżdżamy powoli na długich światłach w stronę rumuńskiego szlabanu. W budynku granicznym ciemno. Stajemy na „ziemi niczyjej” między dwoma państwami. Trwa ten postój półtorej godziny — wreszcie szlaban unosi się i wjeżdżamy na podjazd. Błyskawiczna odprawa paszportowa — wymieniamy czeki na leje i dalej w drogę do Bacau, gdzie ładujemy o świcie.

Dziwnie to miasto — jakby przelamane na pół. Zza obskurnych domków i koślawych uliczek wylania się niespodziewanie nowe Bacau. Miasto jest burzone i budowane od nowa — systematycznie i planowo, całymi kwartałami. Zza nędznego rynečku wychodzimy na wspaniały plac z nowoczesnym hotelem, ogromnym domem towarowym, odnowionymi kamieniczkami, piękną architekturą bloków mieszkalnych. Miasto jest chyba bogate — tu przecież wydobywa się i przetwarza 20 proc. rumuńskiej ropy naftowej. Być może za dwa — trzy lata ze starego prowincjonalnego Bacau nie zostanie już śladu?

Wielki skok

Następnego dnia o świcie decydujemy się na „wielki skok”. Bacau — wyrzeczcie Morza Czarne. Przed nami Bukareszt — Giurgiu — Ruse — Warna — Burgas... Do naszego campingu „Oasis” nie opodal miasteczka Micurin, trzydzieści kilometrów od granicy z Turcją — mamy mniej więcej 800 kilometrów. Dotrzemy tam o świcie, po blisko 24 godzinach podróży.

W południe zatrzymujemy się w Bukareszcie. Już się czuje klimat południa. Pada trochę deszcz, ale niezwykłe ciepło. Może to i sprawa położenia Bukaresztu? Jest on otoczony lasami i jeziorami, leży na Nizinie Wołoskiej nad rzekami Dimbovita i Colentina. Jest to miasto ogrodów — na jednego mieszkańca

Dalszy ciąg na str. 8-9





„Takiej odpowiedzi na to pytanie, o to, jaki powinien być współczesny teatr operowy udzielił mi ANDRZEJ HUNDZIAK — dyrektor łódzkiego Teatru Wielkiego i WOJCIECH MICHNIEWSKI — kierownik artystyczny tej placówki. Obydwaj bardzo niedawno objęli we władanie teatr, który jest dumą naszego miasta. Pełni twórczego zapału przystępują do pracy w sezonie kończącym pierwsze ćwiczenia sceny operowej w Łodzi.

ANDRZEJA HUNDZIAKA nie trzeba przedstawiać czytelnikom. Od wielu lat związany z Łodzią ambitny i wysoko ceniony kompozytor i pedagog, życzliwy opiekun młodzieży muzycznej jest także świetnym organizatorem. Znamy go z wielu ciekawych, twórczych inicjatyw, które niejednokrotnie ożywiały rytm życia kulturalnego naszego miasta. By wymienić „najmłodsze dziecko” tego twórcy i nieustającego w swej aktywności działacza zarówno profesjonalnego jak i z równą powagą i zaangażowaniem traktowanego przezeń amatorskiego ruchu kulturalnego, wspomnijmy rzeczywiste młody, ale budzący już duże zainteresowanie artystów i pedagogów Ogólnopolski Festiwal Współczesnej Twórczości dla Dzieci i Młodzieży, „DO-RE-MI”, który w tym roku po raz drugi odbędzie się w naszym mieście. Z estrad koncertowych całego kraju znane są utwory Andrzeja Hundziaka, którymi przyczynia się on do wysokiej oceny łódzkiego środowiska kompozytorskiego.

Nazwisko WOJCIECHA MICHNIEWSKIEGO, mniej znanego łodzianom, cieszy się rosnącą popularnością zarówno w kraju, jak i za granicą. Młody (32 lata!) artysta często bowiem i chętnie bierze udział w najpoważniejszych konkursach dyrygenckich. Swój udział w nich traktuje bez „sportowych” emocji, widzi w nich za to okazję do zetknięcia się z nowymi prądami, które zawsze i ku pożytkowi młodego artysty odgrywają rolę inspirującą i coraz bardziej pobudzają do twórczego wysiłku nad własnym artystycznym rozwojem. Z dyrygenckich konkursów Wojciech Michniewski przywozi do kraju najwyższe trofea. Pierwszą nagrodę w konkursie mediolańskim „La Scall” zdobył już dwa lata temu. W jego „zbiorniku” znajdujemy także wcześniej zdobyte wyróżnienia na konkursie dyrygenckim w Katowicach i brązowy medal przyzwoiony z Genewy. Absolwent warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej (a przedtem łódzkiego Liceum Muzycznego) studiował w niej równoległe teorii i dyrygenturę w klasie wybitnego artysty Stanisława Wisłockiego. Zainteresowania Wojciecha Michniewskiego długo koncentrowały się wyłącznie wokół muzyki symfonicznej. Zapytany o muzykę operową, a ściślej mówiąc o motywy decyzji przyjęcia powierzonego mu stanowiska kierownika artystycznego teatru operowego, odpowiada z młodzieńczą prostotą:

— Był czas, kiedy nie lubiłem opery. Dlaczego? Bo długo nie widziałem choćby tylko poprawnego przedstawienia operowego. To, co widywałem na naszych operowych scenach, swym kształtem nie mogło wzbudzić we mnie euforji. Złe spektakle wręcz odstraszały — nie tyle od gatunku, ile od myśli o jego realizacji. Swój, teraz już porzucający mnie, urok odkryła przede mną opera na scenach zagranicznych, gdzie przygotowuje się ją z niezwykłą starannością i do bardzo wysokiego poziomu artystycznego wykonania. W doskonałym kształcie opera jest naprawdę wspaniałą. Moje dokonane dla siebie samego „odkrycie” tego gatunku przybrało kształt konkretnych działań. Od roku pełnię funkcję kierownika artystycznego Sceny Współczesnej Warszawskiej Opery Kameralnej. Łódź, skądinąd bardzo mi bliska, winna mieć dobry teatr operowy. Są tu świetne tradycje, dobra atmosfera, ukształtowany i stojący na dobrym poziomie zespół artystyczny, mamy też znakomite warunki techniczne — rzeczywiście reprezentacyjnego Teatru Wielkiego, a ja chciałbym mieć swój udział w jego stałym rozwoju.

Zarówno Andrzej Hundziak, jak i Wojciech Michniewski świadomi są konieczności podjęcia długofalowej pracy. Tylko ona bowiem przyniesie może trwałe efekty. Przedstawiony przez nowe kierownictwo Teatru Wielkiego

plan pracy i projekt repertuaru na rozpoczynający się właśnie dwudziesty piąty sezon działalności tej sceny budzą nie tylko zaufanie i uznanie, ale także i pewność, że sezon ten będzie z jednej strony bardzo interesujący artystycznie, z drugiej zaś otworzy szerokie perspektywy na dalsze lata działalności łódzkiej sceny operowej.

W myśl tego programu Teatr Wielki będzie zatem przede wszystkim teatrem otwartym; otwartym na wszystko, co nowe, poszukującym dla siebie najlepszych twórców i inscenizato-

szymy więc: koncert skrzypcowy Czajkowskiego (solistką będzie znakomita młoda skrzypkaczka Dylana Jenson), „Missa solemnis” Gounoda (po premierze opery Wagnera) oraz estradowe wykonanie dwu oper: „Świętej Zuzanny” Hindemitha i „Ariadny” Elżbiety Sikory. Uważny czytelnik dostrzeże już na pewno, iż w owej działalności koncertowej Teatr Wielki ma ambicję prezentować utwory nigdy dotychczas nie wykonywane w Łodzi. Repertuar podstawowy naszej operowej sceny zwraca natomiast uwagę już nie tylko przewagą, ale ab-

tystów, a jej obecność w repertuarze, która wydaje się być obowiązkiem każdego teatru operowego, pozwoli także na częstsze niż dotychczas wizyty w Łodzi wybitnych śpiewaków z kraju i z zagranicy, które jeszcze ciekawszym uczynią dla melomanów nasz Teatr Wielki.

Dobrą tradycją były niegdyś w Łodzi premiery oper współczesnych kompozytorów polskich. Kierownictwo Teatru Wielkiego z satysfakcją zapowiada także planowaną na następny sezon prapremierę nowej opery Romualda Twardowskiego pt. „Maria Stuart”. Miłośników pięknej sztuki tańca ucieszy zapewne wiadomość o wznowieniu w ciekawszej jeszcze niż przed laty formule Łódzkiej Spotkań Baletowych.

W realizacji tych ambitnych planów życzyrny Teatrowi Wielkiemu powodzenia i sukcesów. Do ich osiągnięcia przyczynią się zapewne także zaproszeni do współpracy twórcy. Melomani z satysfakcją i zadowoleniem przyjmą wieść o nawiązanej już współpracy naszego teatru z Zygmuntem Latoszewskim, Bogusławem Madeyem, Włodzimierzem Kamirskim, Jackiem Kasprzykiem i Tomaszem Bugajem. Za pulpitem dyrygenckim staną także związani na stałe z Teatrem Wielkim: Tadeusz Kozłowski, Kazimierz Wiencik i Zdzisław Drobnier oraz — oczywiście — Wojciech Michniewski.

Przybyła także liczna grupa solistów-śpiewaków: Krystyna Jazwińska, Alicja Zalesna, Michał Skiepkó, Jerzy Wolniak, Janusz Marciniak, Ryszard Bednarek, Andrzej Niemierowicz i Krzysztof Leszczyński. Zespół baletowy, którego kierownictwo sprawuje Janina Niebolska, wzbogacił się o troje solistów-tancerzy: Dobrosławę Gutek, Ewę Owczarek i Krzysztofa Pastora (ci ostatni przybyli do nas z Polskiego Teatru Tańca Konrada Drzewieckiego).

Nowe, ciekawe formy artystycznej działalności, interesujący repertuar, sprawny i stojący na wysokim poziomie zespół artystyczny, świetne warunki techniczne, wybitni dyrygeneci, inscenizatorzy i scenografowie, a wreszcie życzliwość publiczności — oto warunki powodzenia sceny operowej. Teatr Wielki ma te atuty po swojej stronie. Życząc wielu sukcesów Dyrekcji i Zespołowi Teatru Wielkiego czekamy na kolejne premiery.

Rozmawiała: EWA PANKIEWICZ

## POWINNIEN BYĆ OTWARTY I MŁODY...

rów, a poszukującym głównie wśród młodych artystów, którzy będą mogli zaproponować nową estetykę, bliższą wymaganiom współczesnego widza coraz bardziej niechętnego klasycyzmowi i skostniałemu modelowi spektaklu operowego.

Kierownictwo Teatru Wielkiego największą uwagę przywiązuje do perfekcji wykonania dzieł operowych, których opracowanie powierza będzie wybitnym dyrygentom i inscenizatorom. To o ich twórczy udział w kształtowaniu nowego modelu teatru chodzi teraz najbardziej, ich inwencja i talentom oddaje się Teatr Wielki, mniejszą przywiązuje wagę do tego jaki kierunek artystyczny poszukiwani będą preferować — opera czy teatr muzyczny? Nie rozstrzygamy tego sporu — mówi Wojciech Michniewski — chodzi nam o wartościowe przedstawienia naznaczone piętnem wybitnej osobowości artystycznej, a przecież każdy kierunek może dać dzieła wielkiej wartości.

Nowoczesny teatr operowy ma do spełnienia istotną rolę ośrodka inspirującego cały zespół ludzi i służących mu działań artystycznych, winien także z premii na premierę podnosić temperaturę życia muzycznego i teatralnego w mieście, a mając na względzie tę najbliższą, obok działalności „stricto” artystycznej, funkcję popularyzatorską musi być także placówką niezwykle dla adresatów swojej sztuki atrakcyjną. Ta atrakcyjność zaś winna obejmować zarówno repertuar, jak i sposób jego prezentacji oraz działalność upowszechnieniową. W bieżącym sezonie każdy znajdzie coś dla siebie: arcydzieła światowej i polskiej literatury operowej, balet dla dzieci, koncerty symfoniczne i kameralne, a nawet opera włoska w języku oryginalnym... Tytuły? Bardzo proste: już 22 września premiera znanego baletu Adama „Giselle”, a następnie — „Hrabina” Moniuszki, „Dziadek do orzechów” Czajkowskiego, „Tannhäuser” Wagnera, „Borys Godunow” Musorgskiego i „Włoszka w Algierze” Rossiniego.

W czasie koncertów planowanych w tygodniu po każdej premierze orkiestra Teatru Wielkiego prezentować będzie utwory nawiązujące tematycznie do repertuaru wielkiej sceny. Usły-

solnym i niepodzielnym panowaniem w nim klasyki operowej. Trudno nie pochwalić tego szczególnego pietizmu dla klasyki, tym bardziej że nie mieliśmy jej ostatnio w Teatrze Wielkim zbyt wiele, a melomani ciągle spragnieni są jej nowych inscenizacji, zwłaszcza wobec braku istotnych frańujących nowości. Klasyka zresztą jest także najlepszym sprawdzianem talentów i umiejętności naszych ar-



Wojciech Michniewski.



Andrzej Hundziak.

**DIETRICH SCHOLZE O POLSKIEJ LITERATURZE**

— Należy Pan do nielicznych młodych tłumaczy literatury polskiej w Niemieckiej Republice Demokratycznej, którzy znajomości języka nie wynieśli z domu (jak np. znani tłumaczezy Henryk Bereska, Alois Hermann czy Kurt Kelm), lecz nabyl ją podczas studiów?

— Tak, podejmując studia na Uniwersytecie im. Humboldta w Berlinie nie znalazłem słowa po polsku, ani po łożyczku, chociaż urodziłem się w Budziszynie. Znajomość polskiego, uzyskałem dzięki doskonałemu lektorowi tego języka, panu dr. Richardowi Schwartzowi, jak i kilkunastu tygodniowemu kursowi „Policium” Uniwersytetu Warszawskiego.

— No i dzięki późniejszym przyjazdom do Polski, a m.in. i do Łodzi, w której jest Pan, o ile się nie mylę, już po raz trzeci?

— Tak. Choć są to z reguły bardzo krótkie, kilkudniowe pobyty. Ale dla ogólnej orientacji odnośnie nowości literackich i dla „odświeżenia” języka polskiego jest to niezwykle ważne i potrzebne. A swoją drogą i miasto jest ciekawe, naprawdę... — A jak zaczęła się Pańska praca z literaturą polską jako tłumacza?

— Jeszcze podczas studiów, byłem wówczas bodaj na IV, ostatnim roku, nawiązałem kontakt z berlińskim wydawnictwem Volk und Welt, mającym bardzo bogaty dorobek w zakresie rozpowszechniania piśmiennictwa polskiego, gdzie dzięki uprzejmości p. red. Juty Janke uzyskałem możliwość zrecenzowania opowiadań Jerzego S. Stawińskiego. Nawiasem mówiąc, nazbierało się w ciągu tych 6 lat ponad 60 recenzji wewnętrznych. Zaś jako tłumacz próbowałem swoich sił na „Wariacjach pocztowych” Kazimierza Bran-

dysa, przekładając wreszcie dla siebie a nie do druku — byłem do tego inspirowany przez wydawnictwo.

— I tak to się zaczęło...

— A od 1974 roku pracuję w Instytucie Historii Literatury Akademii Nauk NRD. Jako publicysta zadebiutowałem w lutym 1974 roku, kiedy to na łamach naszego „Sonntags” napisałem artykuł z okazji 80 rocznicy urodzin Jarosława Iwaszkiewicza. Później zainteresowałem mnie temat wojny we współczesnej literaturze polskiej. Powstały obszerniejsze szkice o twórczości m.in. J. Putramenta, J. J. Szczepańskiego, czy W. Żukrowskiego...

— ...publikowane na łamach najważniejszych czasopism NRD-owskich, jak „Zeitschrift für Slavistik” czy „Weimarer Beiträge”.

— Tak, istnieje u nas — jak pan o tym wie — ogromne zapotrzebowanie na literaturę polską. Mamy doskonałych tłumaczy, jak Bereska, Buschmann, Rymarowicz, Ball czy ostatnio Hubert Schumann. Potrzebne są także wszelkiego rodzaju opracowania, komentarze, artykuły. One pomagają zrozumieć nie zawsze łatwą dla obcokrajowca literaturę.

— A więc tematyka wojenna we współczesnej literaturze polskiej dominuje w Pańskich zainteresowaniach naukowych?

— Tak, przygotowałem pod kierunkiem dr. Heinricha Olschowsky'ego pracę doktorską pt. „Wojna i ruch oporu w polskiej prozie. Obraz września 1939 roku”. Ale muszę zaznaczyć, że równoległe fascynuje

mnie także i inna tematyka — mianowicie nurt wiejski w literaturze polskiej.

— O ile wiem, niezwykle ceniona jest Pańska rozprawa, wydana w Belgii, właśnie na temat problematyki wiejskiej w naszej literaturze.

— Czy jest ceniona, tego nie wiem. W każdym razie nurt wiejski w naszym piśmiennictwie jest bardzo interesującym zjawiskiem — u nas zresztą nie znanym, zaś autorzy podnoszący ten temat należą niestety do najlepszych polskich piór.

— W jakim zakresie zachodzą na siebie Pana dwa rodzaje działalności: tłumacza i historyka literatury, a także wydawcy?

— Dążę stale do kompromisu. W ubiegłym np. roku wyszła w moim przekładzie „Manipulacja” Iredyńskiego, napisałem posłowie do „Awansu” Redlińskiego (w tłum. H. Bereski) oraz do „Pola niczyjego” Saffjana (w tłum. C. Rymarowicza). W chwili obecnej pracuję nad wyborem tomu nowel Reymonta, który zaopatrzę także w posłowie. Owszem, niekiedy tłumacz-popularyzator zabiera czas historykowi literatury polskiej, ale sądzę, że obowiązki polonisty za granicą są nieco inne, bardziej wielostronne...

— Na początku naszej rozmowy powiedział Pan, że już nie raz był Pan w Łodzi. Czy są to pobyty czysto prywatne, czy może jest to także rodzaj rekonesansu, który może w przyszłości zaowocować tłumaczeniem któregoś z łódzkich pisarzy?

— Raczej o charakterze prywat-

nym, chociaż trudno wyraźnie rozgraniczyć tutaj „turystrykę” od zawodowej chęci poznania środowiska i obligatoryjnego obowiązku każdego tłumacza, aby w miarę często słyszeć język, z którego się przekłada. Tym niemniej ogromnie sobie cenię kontakty z dr. Tadeuszem Białejewskim, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Łódzkiego, z którym zresztą publikowałem razem w przeszłości i który nie raz służył mi przyjacielską radą i pomocą w literackich sprawach. Jeśli zaś mowa o innych „łodzianach” to np. dla stołecznego wydawnictwa „Aufbau” zarekomendowałem „Linie” Jerzego Wawrzaka, którego talent pisarski i zaangażowanie ideowe wysoko cenię. Jego powieść ukaże się w przekładzie Christy i Johannes Jankowiaków.

— I na koniec, jeśli Pan pozwoli, tradycyjne pytanie: jakie ma Pan plany na przyszłość?

— Z pewnością literatura XX wieku, a więc szeroko rozumiana współczesność, w chwili obecnej trudno mi to sprecyzować dokładniej. Sporo uwagi poświęcę w tym roku dydaktyce, gdyż poprowadzę na Uniwersytecie Berlińskim zajęcia tłumaczeniowe, no a oprócz tego etatowa praca w Akademii Nauk.

— Dziękuję za rozmowę i życząc spełnienia planów zarówno naukowych, jak i translatorskich.











skrzydlającego z południa i północy, połączony z silnym uderzeniem czołowym ze wschodu. Natomiast zdecydowało wykonać natarcie na jednym kierunku operacyjnym, bezpośrednio na Warszawę, siłami 70 i 47 Armii, do których sukcesywnie miały dołączyć wojska 1 Armii WP w miarę przekazywania swoich odinków obrony jednostkom radzieckim.

Tymczasem na północny-wschód od Warszawy, w dniach 4-6 września, wojska radzieckie z 48 i 65 Armii, walczące na prawym skrzydle 1 Frontu Białoruskiego, po niezwykle krwawych i zawziętych walkach, sforsowały rzekę Narew i zdobyły przyczółki pod Różanem i Pultuskim. Niemcy zmuszeni więc byli przerzucić tam większą część sił i środków z kierunku warszawskiego, aby zatrzymać natarcie wojsk radzieckich na północ od Buga-Narwi i nie dopuścić do powiększenia zdobytych przyczółków. Oslabienie wojsk niemieckich na przedpolach Warszawy stworzyło dogodne warunki do przeprowadzenia operacji zaczepnej w celu wyzwolenia Pragi, a następnie całej stolicy Polski, zbieżnym uderzeniem wojsk 47 i 70 Armii, które zostały uzupełnione oraz należyście wzmocnione i zaopatrzone w środki walki. W dniu 5 września Dywizja Kościuszkowska została podporządkowana operacyjnie dowódcy 47 Armii, generałowi Nikolajowi Gusiewowi, który z kolei podporządkował ją 125 Korpusowi armijnemu.

W centrum pasa natarcia, na kierunku głównego uderzenia, miała nacierać nasza Dywizja Kościuszkowska. Jej zadaniem bojowym było przełamanie obrony 70 pułku 73 niemieckiej Dywizji piechoty na odcinku między hutą szkła a stacją kolejową w Międzyzlesiu. Następnie zaś nacierać w kierunku północno-zachodnim na Anin, Wawer, Kozią Górę i Pragę w celu opanowania wschodniego brzegu Wisły, na odcinku od północnego mostu kolejowego po most Poniatowskiego oraz stworzenia warunków do forsowania Wisły i wyzwolenia lewobrzeżnej Warszawy. Na lewym skrzydle, na kierunku pomocniczym, w pasie położonym na zachód od linii kolejowej Otwock — Praga, miała nacierać 175 dywizja strzelców wraz z radzieckim 59 samodzielnym dywizyjnym pododdziałem pancernym. Zadaniem jej polegało na przełamaniu obrony niemieckiej na odcinku od stacji kolejowej Międzyzlesie do wsi Zbytki i następnie rozwinięciu natarcia w kierunku Gocławka i Saskiej Kępy, w ścisłym współdziałaniu z naszą dywizją. Od wieczora 6 września przystąpiliśmy do opracowywania dokumentacji bojowej, organizacji przegrupowania i przygotowywania się do natarcia. Z rana 7 września dowódca dywizji, generał Wojciech Bewziuk, przeprowadził szczegółowy rekonesans podstawy wyjściowej do natarcia.

Rano, 10 września, na całym froncie na wschód od Warszawy rozpoczęły się skomplikowane i głęboko przemyślane działania zaczepne. Rozpoczęło je lotnictwo radzieckie, wykonując uderzenia na rejon koncentracji odwodów, stanowiska ogniowe i dowodzenia nieprzyjaciela. Usilnie bombardowało pozycje niemieckie w okolicy Pragi oraz lotniska na Bielanych i Okęcu. Nad Warszawą toczyło walki powietrzne z samolotami niemieckimi. O godzinie 8, po 10-minutowej nawałe ogniowej, w całym pasie natarcia 125 Korpusu armijnego 47 Armii rozpoczęły się walki rozpoznawcze czołowych batalionów 76 i 175 Dywizji.

Punktualnie o godzinie 13, przy artyleryjskim i lotniczym wsparciu, ruszyły do ataku bataliony szturmu 1 i 3 pułku piechoty. Działła towarzysząca 45 i 76 mm niszczyły natarciowe punkty ogniowe nieprzyjaciela, strzelając na wprost. Najwięcej sukcesów uzyskał 3 batalion 1 pułku piechoty pod dowództwem kpt. Wiktora Kapuścińskiego, który do

godz. 17 wyszedł na drogę Podkaczy Dół — Anin. Następnie, wsparty kompanią czołgów radzieckich, wspólnie z 2 batalionem opanował stację kolejową Anin. O godz. 14.40 generał Bewziuk wydał rozkaz 3 pułkowi piechoty, aby dokonał manewru 1 batalionem kpt. Andrzeja Lisowa

korpusu 76 Dywizja nareszcie wywoliła Rembertów i z marszu opanowała Karolówkę.

Do wieczora 11 września Kościuszkowcy całkowicie przełamali drugą pozycję obrony niemieckiej i podeszli do wschodniego skraju Koziej Górki i północno-wschodniej części

LEON DUBICKI

## KOŚCIUSZKOWCY W BOJACH O PRAGĘ



Foto: Archiwum

skiego w celu obejścia pola minowego od zachodu, wykorzystując powodzenie 1 pułku piechoty. Następnie grupy saperów przystąpiły do rozminowania. Niebawem 2 batalion ruszył do szturmu i wspólnie z 1 batalionem wyszedł na szosę prowadzącą z Miłosnej do Wawra; później czołowe pododdziały 1 pułku również wyszły na drogę Zielona — Wawer wyrównując ogólny front dywizji. Nie zdążyła jednak przeskoczyć Niemcom w obsadzeniu drugiej pozycji obrony.

Osiągnięcie drogi Zielona — Wawer przez czołowe jednostki 125 Korpusu armijnego oznaczało, że dywizję pierwszego rzutu szybko i pomyślnie wykonywały swoje zadanie i powinny przystąpić do wykonania zadania dnia: przełamania drugiej pozycji obrony niemieckiej. Dalszy ruch do przodu został jednak zatrzymany, ponieważ radziecka i polska piechota napotykała na pola minowe, a na nowo ustawiona, na dogodnych stanowiskach, niemiecka broń maszynowa otworzyła intensywny ogień i uniemożliwiła kontynuowanie natarcia w kierunku Pragi.

Wieczorem 10 września dowódca 125 Korpusu armijnego uznał, że należy poszerzyć pas natarcia na północ i opanować Rembertów, aby zabezpieczyć lewe skrzydło korpusu przed ewentualnym kontratakami niemieckimi. W nocy z 10 na 11 września trwały zacięte walki w całym pasie natarcia dywizji. Przeniesłem stanowisko Dowodzenia artylerii na północny skraj Anina, aby być w kontakcie z nacierającą piechotą i móc operatywnie kierować ogniem. O godzinie 10, po krótkim, 10-minutowym, ale silnym przygotowaniu artyleryjskim, wszystkie dywizje ruszyły do ataku. Przez cały dzień trwały zawzięte i krwawe walki o poszczególne zabudowania, zakłady przemysłowe, stacje kolejowe i stanowiska ogniowe. Na prawym skrzydle

Grochowa. Czołowe ich pododdziały wysunęły się najdalej do przodu, znacznie wyprzedzając jednostki radzieckie. Pełni patriotyzmu i świadomości spełnienia zaszczytnego obowiązku żołnierskiego wobec Ojczyzny i walczącej stolicy, Kościuszkowcy z determinacją, zawziętością i ofiarnością przebijali się przez zlejącą ogień obronę niemiecką. Obserwując ich bohaterką postawę i nieustanny ruch do przodu, zdawałem sobie sprawę, podobnie jak i inni, że był to właśnie najodpowiedniejszy i najdogodniejszy moment do rozpoczęcia powstania, które niestety wniechęciło o ponad pięć tygodni do wczesnie.

Niemieckie dowództwo obrony przedmieścia warszawskiego zdawało sobie sprawę, że dalsze utrzymywanie Pragi jest praktycznie niemożliwe. Obserwując pomyślny przebieg bitwy o wyzwolenie Warszawy i przewidując konieczność rychłego forsowania Wisły, marszałek Rokossowski rozkazał dowódcy 1 Armii WP, generałowi Berlingowi, aby niezwłocznie przegrupował główne siły armii z przyczółka wawersko-magnuszewskiego do rejonu Pragi. W tym celu należało od rana 12 września przekazać zajmowany pas obrony oddziałom radzieckim z 8 Armii gw. Następnie w nocy z 12 na 13 przeprowadzić polskie oddziały z przyczółka na wschodni brzeg Wisły po wszystkich czynnych mostach, przydzielonych wyłącznie do dyspozycji wojsk polskich. Praktyczna realizacja rozkazu o przegrupowaniu rozpoczęła się już wieczorem 11 września, kiedy z przyczółka wycofały się niektóre oddziały artylerii armijnej i ześrodkowały na wschodnim brzegu Wisły.

Dla żołnierzy polskich noc z 11 na 12 września była nocą walki i dalszych przegrupowań zarówno na przyczółku wawersko-magnuszewskim, jak i w rejonie Pragi, gdzie 3 pułk

piechoty opanował Kawęczyn, a 1 pułk prowadził uporczywe walki o zabudowania Grochowa. W nocy z 11 na 12 września szczególnie zacięte walki toczyli żołnierze radziecy na prawym skrzydle natarcia 125 Korpusu piechoty. Rano 12 września już trzy dywizje radzieckie i nasza dywizja rozpoczęły uderzenie w kierunku Wisły. Natarcie 125 Korpusu armijnego rozwijało się bardzo wolno, napotykając na silny i dobrze zorganizowany system niemieckiego ognia maszynowego i przeciwpancernego na linii: Elsnerów, Utrata, zachodni kraj Grochowa. Po godzinie 16 generał Bewziuk wprowadził do walki również drugorzutowy 2 pułk piechoty. Nasza dywizja, mając w pierwszym rzucie trzy pułki, po kolejnej 10-minutowej nawałe ogniowej, ruszyła do ataku już bezpośrednio na Pragę.

Około godziny 19 na skrzydła i centrum naszej dywizji wyszedł kolejny kontratak pododdziałów grenadierów pancernych, wsparty czołgami. Znowu skierowałem tam zmasowany ogień podporządkowanej mi artylerii. Do godziny 22 odparliśmy jeszcze kilka kontrataków. Oddziały 19 niemieckiej Dywizji pancernej nie zdołały zatrzymać natarcia zarówno naszej jak i sąsiednich dywizji radzieckich. Wobec kompletnego rozbitcia 73 Dywizji niemieckiej i sprowadzenia do zera jej zdolności bojowej oraz braku jakiegokolwiek odwodów, dowódca niemieckiej obrony Pragi, generał Köllner, uznał za konieczne rozpoczęcie stopniowej ewakuacji resztek rozbitych oddziałów za Wisłę lub na północ. Losy niemieckiej obrony Pragi zostały przesądzone.

13 września o godzinie 10 nasze pułki piechoty, wzmocnione kilkunastoma czołgami radzieckimi, rozpoczęły szturm zwartych zabudowań Pragi. Rozgorzały zawzięte walki uliczne. Walczono o poszczególne domy, piętra i piwnice. Rozkazałem wysunąć do przodu, do strzelania wprost, wszystkie aktualnie możliwe do użycia armaty 45 i 76 mm oraz działa pancerne SU-76 i czołgi, aby skutecznie i szybko raziły konkretne punkty ogniowe, nie uszkadzając budynków i nie powodując strat wśród ludności cywilnej.

Przed południem generał Bewziuk polecił mi wyjechać na spotkanie ważnych osobistości z Dowództwa 1 Frontu Białoruskiego. Natychmiast wyjechałem w rejon skrzyżowania dróg na południowy-wschód od Rembertowa. Niebawem nadjechała duża kolumna samochodów osobowych. Natychmiast zorientowałem się, że przyjechał marszałek Rokossowski. Zameldowałem się Marszałkowi i poprowadziłem kolumnę na wysunięte Stanowisko Dowodzenia Dywizji, rozlokowane w dużej piętrowej willi II, położonej w parku na południu od Rembertowa. Po wysłuchaniu meldunku generała Bewziuka o sytuacji taktycznej na froncie, przebiegu walki i zadaniach bojowych oddziałów dywizji, Marszałek poinformował nas o skomplikowanej sytuacji wojskowej i politycznej w rejonie Warszawy, którą Niemcy chcą utrzymać za wszelką cenę. W rejonie stolicy polscy skupiali się wówczas zawiązkane problemy polityczne, strategiczne i prestiżowe zarówno wielkich mocarstw alianckich, jak i Rzeszy hitlerowskiej. Na to nawarstwiły się nasze polskie sprawy narodowe, reprezentowane przez dwa przeciwstawne i rywalizujące ze sobą Rządy i dwie armie.

Następnie Marszałek spotkał się z łączniczkami powstańczych oddziałów AL walczących na obszarze Warszawy lewobrzeżnej. W nocy z 12 na 13 września przeprowili się one przez Wisłę na Pragę, a rano napotkały Kościuszkowców i pomyślnie dotarły do sztabu dywizji. Helena Jaworska i Janina Balcerzak ogólnikowo zreferowały sytuację powstańców. Marszałek częściowo powtórzył im swoją poprzednią ocenę sytuacji politycznej w rejonie Warszawy i zapewnił je, że Wojsko Polskie, a szczególnie 1

Armia WP, zrobią wszystko, aby z marszu sforsować Wisłę, wyzwolili Warszawę i uchronili jej ludność przed całkowitą zagładą.

Do wieczora 13 września Kościuszkowcy, skutecznie wspierani artylerią i sporadycznymi uderzeniami własnego lotnictwa, meżnie i zawzięcie walczyli na ulicach Pragi dążąc ku Wiśle. Po godzinie 17 czołowe pododdziały 1 pułku piechoty opanowały ulicę Zamojskiego w rejonie Portu Praskiego i kontynuowały oczyszczanie od nieprzyjaciela ulicy Targowej i wschodniego brzegu Wisły.

Przez całą noc z 13 na 14 września toczyła się bitwa o całkowite oczyszczenie Pragi z resztek niedobitków niemieckich pododdziałów 73 dywizji piechoty i 19 dywizji pancernej. Jednostki radzieckie całkowicie opanowały Saską Kępę i wyszły na wschodni brzeg Wisły na wysokości Czerniakowa i Śródmieścia. Dalej na północ, od mostu Średnicowego do mostu Kierbedzia włącznie wschodni brzeg rzeki opanowały pododdziały 1 pułku piechoty naszej dywizji. Nieprzyjaciel utrzymywał się jeszcze na wschodnim brzegu w rejonie Ogrodu Zoologicznego i północnego mostu kolejowego. Podążały tam 2 i 3 pułki piechoty. Całkowite wyzwolenie Pragi i Zerania było tylko kwestią kilku najbliższych godzin. Od wczesnego rana 14 września siły główne Kościuszkowców kontynuowały natarcie. Przed południem 2 pułk oczyścił od nieprzyjaciela teren parku Ogrodu Zoologicznego i wyszedł na wschodni brzeg Wisły. Na prawo od niego do rejonu północnego mostu kolejowego dotarł 3 pułk.

Realizując polecenie marszałka Rokossowskiego, dowódca dywizji zarządził, żebym skierował ogień 30 i 100 radzieckich dalekonośnych Brygad artylerii na grupowanie wojsk i stanowiska ogniowe artylerii nieprzyjaciela rozlokowane na zachód od Wisły, w celu okazania skutecznej pomocy powstańcom. Wykonałem to zarządzenie, planując i organizując ogień na podstawie danych otrzymanych od łączniczki AL, Janiny Balcerzak i Heleny Jaworskiej. Następnie udoskonaliłem organizację ognia oraz zwiększyłem jego skuteczność i dokładność na podstawie dodatkowych danych uzyskanych znów od łączniczki, które z kolei młodszej nocy przepłynęły jakimś sposobem przez Wisłę. Pani Alicja Solska, przedstawicielka AL, w zasadzie potwierdziła tylko to, co zrelacjonowały jej poprzedniczki. Natomiast pani Ewa Płoska, przedstawicielka AK, podała bardziej konkretne granice rejonów obrony powstańców AK w Śródmieściu, na Czerniakowie i Mokotowie.

Po godzinie 15 generał Bewziuk zameldował dowódcy 125 Korpusu, generałowi Kuźmichowi, że do godziny 13 oddziały 1 dywizji piechoty całkowicie opanowały przedmieście Warszawy — Pragę, z wyjątkiem niedużego, zaminowanego przyczółka w rejonie północnego mostu kolejowego naprzeciwko Cytadeli, który był również zniszczony.

W ciągu pięciodniowych walk dywizja, wspólnie z sąsiadami, zniszczyła główne siły 73 Dywizji piechoty niemieckiej oraz zadziała silne ciosy jednostkom 19 Dywizji pancernej nieprzyjaciela.

Wykonując te trudne zadania bojowe dywizje poniosły wiele ofiar. W walkach poległo, lub zmarło z ran, 524 żołnierzy, 1436 zostało rannych, a 44 zginęło bez wieści. Stanowisko to prawie 23 proc. stanu faktycznego dywizji. Sąsiednie dywizje radzieckie też poniosły znaczne straty, a może nawet proporcjonalnie większe od naszych: ok. 6000 zabitych i rannych. Kościuszkowcy chlubnie wykonalili zaszczytne zadanie bojowe, wyzwalaając Pragę spod jarzma okupacji hitlerowskiej.

LEON DUBICKI  
Gen. Bryg. rez.

ki takie uzyskać można w biurze polskiego przedstawiciela po bułgarskiej stronie.

Wracamy, budząc dezorientację wśród bułgarskiej straży granicznej. Stajemy na parkingu. Na murku przed budynkiem ktoś się opala — pan Zenek idzie pytać o biuro polskiego przedstawiciela. Dobrze trafił — to jest właśnie „biuro”. Przedstawiciel z pieczęcią, który przystawia nam w dowodach tekst głoszący: „Ważny również na Socjalistyczną Federacyjną Republikę Jugosławii do 30.09.1979 r.”.

Przejeżdżamy powtórnie granicę — tym razem bez przeszkód. Pędzimy autostradą — mijają nas setki aut tureckich gasterbeiterów, zdających się do pracy w RFN. Wielkie, niemożne już i bardzo zużyte wozy, kupowane zapewne za bezcen, albo wręcz wypożyczone — amerykańskie ford i continental, kolorowe mercedesy, mikrobusy volksvagen... Na dachach przywiązane sznurkami worki z papryką, skrzynie bakłażanów, pościel, garnki i ko-

ciółki. Całe to towarzystwo — z rodzinami, z maleńkimi dziećmi pędzi przez Jugosławię, aby zdążyć na 1 września do pracy. Odczytujemy tablice rejestracyjne wozów — Hamburg, Kolonia, Monachium...

My także zamierzamy pokonać Jugosławię jednym „skokiem” z krótkim tylko zwiedzeniem Belgradu — wiadomo, brak dewiz. Nieświsty — los chciał inaczej.

Na parę kilometrów przed stolicą trzaskają opony w obu tylnych kołach. Zjeżdżamy na pobocze autostrady. Słońce powoli chyli się ku zachodowi — za godzinę będzie już bardzo zimno.

Okazuje się jednak, że w gospodarstwie, które przed chwilą minęliśmy mieszka Serb, który w czasie wojny poznał Polaków. Dzięki dobrej pamięci o nieznanym rodakach pozwala nam rozbić namioty za swoim podwórkiem. W świetle księżyca stawiamy nasze domki — jednostajny szum autostrady usypia nas szybko.

### Belgrad

Rano, po zwinięciu obozowiska ruszamy do stolicy. My wyspani — nasi kierowcy pół nocy, przy świetle latarki naprawiali koła. Wjeżdżamy do Belgradu Bulwarem Jugosłowiańskim akurat od tej strony, gdzie powstają no-

we dzielnice — szeregi wieżowców o oryginalnej architekturze.

Miasto jest jednym wielkim „Pewexem”. I tu polityka odbija się w szybach sklepów. W banku 5 dolarów wymieniają na 92 dinary. Można za to zjeść skromne śniadanie i ewentualnie kupić butelkę Coca-Coli. Ze zdumieniem oglądam krem do golenia „Wars” i wodę kołniską tej samej marki. Taki komplet kosztuje 184 dinary — czyli 10 dolarów. Nie wiedziałem, że się tak drogo goje.

Nie bardzo sobie wyobrażam jak można za przydziałowe, turystyczne 150 dolarów wyżyć w tym mieście dwa tygodnie. Obiad kosztuje ok. 100 dinarów, opłata campingowa — 25 dinarów za namiot i 25 za osobę... Razem 50 dinarów na dobę. Raz dziennie obiad i opłata za camping pochłonę cały przydział dewizowy w ciągu 2 tygodni. A benzyna, a opłaty drogowe?

To nie jest kraj na naszą kieszeń. Zbieramy się do drogi. Jedziemy starą szosą, unikając nowoczesnych autostrad, gdzie pobierają opłaty drogowe w wysokości 95 dinarów za 100 km. Pod wieczór dojeżdżamy do przejścia granicznego Horgosz—Roszke. Późnym wieczorem jesteśmy już na campingu w Szegedzie. Jest to najlepiej utrzymany i najsympatyczniejszy camping na naszej trasie podróży.

Rano ruszamy jednak dalej — do Budapesztu, gdzie spędzimy dwa dni i dwie noce,

na campingu Romani — ogromnym wielonarodowym obozowisku. Pogoda w dalszym ciągu piękna — nocne nadal ciepłe. Obok nas obozują studenci z Pakistanu — wieczorami zawodzą swoje pieśni.

### Ostatni dzień

Ostatni dzień wędrowki zaczął się o 4 rano. Wyruszyliśmy w stronę granicy czeskosłowackiej — po paru godzinach skończyła się pogoda, wjechaliśmy w deszcz. Na przejściu granicznym Sahy—Parassapusta przystawiono tylko pieczątki w kartach przekroczenia granicy i machnięto ręką — „jechać dalej”. W Cieszynie odebrano nam dowody i pieczątki na Jugosławię osteplowano napisem „anulowano”. Żeby komuś nie wpadło do głowy wybrać się raz jeszcze do Belgradu.

Kończy się podróż — deszcz zacina coraz bardziej. Za Cieszynom zatrzymujemy się w przydrożnym zajezdzie. Znowu mamy polski chleb — trochę czerstwy, ale prawdziwy chleb o smaku chleba. Jem skromniutką porcję kolonki z paroma listkami surówki. Za chwilę kładzie przede mną rachunek — 150 zł. No — jestem w domu!

JERZY WILMAŃSKI

ODGŁOSY 9

# GRANIC

Twórcy pierwszego w świecie socjalistycznego państwa niemal od zarania jego istnienia przykładali ogromne znaczenie do idei poszukiwania i maksymalnego wykorzystania możliwości międzynarodowej współpracy gospodarczej. Jej treść ucieleśniona w leninowskiej koncepcji polityki pokojowego współistnienia z państwami o odmiennych systemach społecznych, stanowi do dnia dzisiejszego tradycyjną zasadę polityczną, jaką kierują się one w stosunkach ze światem. Jednakże sprzyjające warunki dla rozwoju szerokiej międzynarodowej współpracy ekonomicznej nie powstały samistnie, zostały stworzone w rezultacie aktywnej walki krajów wspólnoty socjalistycznej o osłabienie napięcia w świecie, kiedy to w praktyce stosunków międzynarodowych utrwały się takie podstawowe ich normy, jak: poszanowanie niezawisłości i suwerenności, równoprawności, integralności terytorialnej i nie naruszalności ustanowionych w Europie granic państwowych, a także wyrzeczenie się stosowania i groźby stosowania siły oraz wzajemna nieingerencja w sprawy wewnętrzne. Wówczas dopiero pojawiła się możliwość zawierania poważnych, obliczonych na długie okresy międzynarodowych porozumień ekonomicznych. Wiadomo bowiem z kolei, w jak wysoce pozytywnym stopniu wpływają one (na zasadzie sprzężenia zwrotnego) na poprawę politycznej atmosfery w świecie, sprzyjając tworzeniu korzystnych warunków dla rozwiązywania żywotnych problemów międzynarodowych.

Pamiętać trzeba także, że trwały pokój między narodami nie stanowi zagadnienia czysto politycznego i naturalnie nie może być zapewniony środkami wyłącznie politycznymi. Wymaga on nie tylko systemu gwarancji politycznych o nieagresji i wyrzeczenia się użycia siły w stosunkach między państwami. Perspektywy odprężenia międzynarodowego są nierozdzielnie związane z kształtowaniem i realizacją zasad wzajemnie korzystnego partnerstwa i ścisłych więzów wzajemnych różnych krajów, w określonych dziedzinach ekonomiki, — tj. z taką sytuacją, która obiektywnie przeciwdziałalaby możliwości zaistnienia wielkich konfliktów politycznych między państwami. I tu dotykamy sedna problemu, gdyż właśnie intensywne i rozległe więzi ekonomiczne stanowią same przez się silny czynnik uzdrawiania sytuacji międzynarodowej, tworząc nierzadko warunki dla osłabienia napięcia w świecie.

W procesie realizacji obiektywnej tendencji do internacjonalizacji więzi gospodarczych, zachędy się w coraz większym stopniu rozwijać stosunki ekonomiczne i naukowo-techniczne w skali całej gospodarki światowej, w tym oczywiście między krajami socjalistycznymi i kapitalistycznymi. Jedną z podstawowych przyczyn węższej i szerszej współpracy międzynarodowej jest umocnienie systemu gospodarki socjalistycznej, zwiększenie chłonności jej rynku, stworzenie przez kraje naszej wspólnoty wszechstronnie rozwiniętych struktur gospodarki narodowej i znaczne osiągnięcia tych krajów w dziedzinie nauki i techniki. Z rozszerzaniem więzi ekonomicznych państw kapitalistycznych z krajami socjalizmu, idzie w parze również znaczne zaostreżenie w ostatnim okresie sprzeczności międzyimperialistycznych na rynku światowym, w szczególności sprzeczności między trzema podstawowymi „osrodkami siły” współczesnego kapitalizmu: USA, Europą Zachodnią i Japonią. Prócz tego wiadomo, że

szersza współpraca międzynarodowa uwarunkowana jest cechami współczesnej rewolucji naukowo-technicznej, jako że poważne nakłady na prace naukowo-badawcze oraz skala współczesnej produkcji bezwzględnie wymagają łączenia wysiłków i wymiany osiągnięć kilku państw w celu szybkiego i efektywnego rozwiązywania wielu zadań naukowo-produkcyjnych.

ANDRZEJ BLAJER

# WSPÓLPRACA GOSPODARCZA WSCHÓD — ZACHÓD

Charakter współczesnej produkcji coraz bardziej konsekwentnie ogranicza możliwości poszczególnych krajów w zakresie tworzenia pełnych lub nadmiernie wielogabziowych kompleksów przemysłowych. Asortyment produkcji przemysłowej, szczególnie w przemyśle maszynowym i chemicznym, jest obecnie na tyle szeroki, że ani jeden kraj nie jest w stanie zapewnić u siebie ekonomicznie efektywnego masowego wytwarzania wszystkich rodzajów wyrobów. Dążenie, by mieć wszystko własne stało się zbyt kosztowne, nazbyt nieefektywne ekonomicznie.

Toteż w dobie obecnej rosnące zainteresowanie świata przyciągają różnorakie aspekty powiązań gospodarczych między krajami obozu socjalistycznego, a wysoko uprzemysłowanymi państwami kapitalistycznymi, jak już podkreślano powiązania takie reprezentują sobą jedną z niezwykle istotnych sfer stosunków międzynarodowych, szczególnie ważną z punktu widzenia interesów bezpieczeństwa światowego i rozwoju procesu pokojowego współistnienia na naszym globie. Patrząc z pewnej perspekty-

wy można zauważyć, że powiązania ekonomiczne między Wschodem a Zachodem przekształciły się już w bardzo aktywnie rozwijający się sektor międzynarodowej wymiany gospodarczej. W okresie lat 1960—1976 obroty między krajami o odmiennych systemach społeczno-ekonomicznych wzrosły 3,4 raza. Udział rozwiniętych krajów kapitalistycznych w handlu zagranicznym państw RWPG wzrósł z 20 proc. w 1965 roku do 31 proc. w 1976, podobnie w relacji odwrotnej, gdzie z kolei można zaobserwować pewną stałą tendencję wzrostu naszej obecności na rynkach Zachodu. O randze i skali wzajemnych kontaktów w sferze wymiany gospodarczej świadczy fakt, że podczas gdy w 1968 roku zawartych zostało 150 poważnych transakcji przeważnie o charakterze kooperacyjnym, to w 1970 roku było ich już 200, a obecnie — 1200.

Ustabilizowane i długoterminowe powiązania gospodarcze z krajami kapitalistycznymi odpowiadają potrzebom gospodarki planowej krajów socjalistycznych, gdyż zapewniają wyroby, których nie produkują, względnie takie, których produkcja własna byłaby kosztowniejsza niż import. Zapewniają także wykorzystywanie najnowszych zdobyczy postępu technicznego oraz możliwości finansowych krajów kapitalistycznych w celu mobilizowania dodatkowych środków.

Z kolei dla uprzemysłowionych krajów Zachodu niezmierne ważny jest dostęp do rynków krajów RWPG, zwłaszcza w związku z zaostreżeniem problemów zbytu i coraz silniejszą konkurencją w świecie kapitalistycznym. Toteż pragną one rozszerzyć i zróżnicować źródła surowców i energii, wykorzystywać rezultaty fundamentalnych badań naukowo-technicznych krajów socjalistycznych oraz zwiększać zatrudnienie w szeregu gałęziach gospodarki.

Mimo pozytywnego rozwoju stosunków gospodarczych, ich rozmiary i struktura wciąż jeszcze nie odpowiadają obiektywnym możliwościom, ani wzajemnym potrzebom partnerów handlowych. Co prawda, pod względem produkcji przemysłowej kraje obu systemów zajmują poważne miejsce na świecie, jednakże na ich wzajemne obroty przypada tylko niewielka część handlu międzynarodowego. Również struktura wymiany handlowej nie odpowiada ich potencjałom gospodarczym i naukowo-technicznym.

Jako partnerzy w międzynarodowych stosunkach gospodarczych europejskie kraje socjalistyczne stale umacniają materiałną bazę współpracy. Zwiększa się ich udział w światowej produkcji przemysłowej i zgodnie z prognozą Instytutu Gospodarki Światowej w Kilonii, zbyt dóbr inwestycyjnych oraz innych wyrobów przemysłowych z krajów naszej wspólnoty na rynkach zachodnich będzie wzrastać w najbliższych latach o ok. 20 proc. rocznie. Będzie to możliwe dzięki postępowi w modernizacji struktury gospodarczej i szybko rosnącej konkurencyjności wyrobów państw socjalistycznych. Rozwój taki umożliwi likwidację braku zrównoważenia w handlu oraz otwiera perspektywę dalszej intensyfikacji więzi gospodarczych.

Bardzo ważnym czynnikiem stymulowania współpracy ekonomicznej w tonie dwóch systemów społecznych regionu europejskiego może stać się wykorzystywanie międzynarodowego podziału pracy przy rozwiązywaniu takich problemów, jak: zapewnienie zaopatrzenia w energię i surowce, ochrona środowiska, transport, łączność. Jak wiadomo, na nasz konty-

nent przypada podstawowa część światowej produkcji przemysłowej, a RWPG jest jednym z najbardziej dynamicznych pod względem ekonomicznym regionów świata.

Do pogłębiania się współpracy gospodarczej Wschód—Zachód przyczyniać się będzie w sposób niezaprzeczalny powstawanie nowych jej form i metod, takich przede wszystkim jak kooperacja przemysłowa. Choć są to dopiero pierwsze kroki, to jednak już widać, że udział kooperacji w obrotach handlu zagranicznego reprezentuje wyraźną tendencję wzrostową i obecnie ocenia się jego wysokość na ok. 5 proc., a w przemyśle maszynowym na jeszcze więcej. Ponieważ kooperacja jest formą trwałych powiązań długookresowych, gospodarka krajów socjalistycznych, rozwijająca się w oparciu o plany wieloletnie jest bardzo atrakcyjnym partnerem dla firm kapitalistycznych. Wykorzystywanie kooperacji jest celowe również dla krajów socjalistycznych, umożliwia bowiem przyspieszenie postępu w dziedzinie nauki i techniki.

Perspektywną odmianą kooperacji są porozumienia kompensacyjne stanowiące poważny postęp w porównaniu z praktykowanymi dawniej formami współpracy. Mają one ustabilizowany, długookresowy charakter i przewidują udzielanie partnerowi zagranicznemu kredytu długoterminowego, na podstawie którego nabywa on licencje, urządzenia i materiały. Kredyt spłaca się dostawami wyrobów z wniezionej lub wyposażonej przedsiębiorstwa względnie dostawami wyrobów z innych zakładów kraju — kredytobiorcy.

Ważnym rodzajem kooperacji jest współpraca partnerów z państw socjalistycznych i kapitalistycznych w krajach trzecich, zwłaszcza rozwijających się. Na zasadzie współpracy trójstronnej buduje się obecnie około 130 obiektów przemysłowych i innych, w przeszło 30 krajach rozwijających się. Ze względu na rosnące zapotrzebowanie tych państw na maszyny, urządzenia i pomoc techniczną, korzyści, jakie płyną dla nich z takiej formy współpracy są oczywiste. Nie mniej istotne są także porozumienia w zakresie podejmowania projektów wielostronnych (jak np. budowa gazociągu transeuropejskiego, łączącego kraje RWPG, Austrii, RFN, Francji i Włochy), chwilowo jednak państwa europejskie nie rozporządzają jeszcze wystarczającym doświadczeniem do ich szerokiej realizacji.

Rozważając różniczne aspekty współpracy gospodarczej między krajami o odmiennych ustrojach społecznych należy pamiętać, że jest ona nie do pogodzenia z jakimikolwiek próbami mieszania się w sprawy wewnętrzne innych krajów. Współpraca pojmowana tak, jak ją określono na wstępie, wymaga ścisłego przestrzegania praw, norm i zwyczajów partnera. Dlatego też w polityce szeregu krajów kapitalistycznych niezbędne są obecnie praktyczne kroki, które wypełniłyby powyższą tezę realną treścią. W celu efektywnego rozwijania współpracy między państwami socjalistycznymi i kapitalistycznymi powstały i działają określone mechanizmy oraz specyficzne formy instytucjonalne (mieszane komisje rządowe, wspólne izby handlowe i rady ekonomiczne). Jak dotychczas, znajdują one jednak ograniczone zastosowanie. Powstaje zatem konieczność maksymalnego wykorzystywania możliwości takich form, stanowiących przecież niejaką rezerwową potencjał współpracy między Wschodem, a Zachodem, by była ona jak najbardziej owocna w interesie narodów całego świata.

Biblii nic w niej nigdy nie ulegało zmianie i odpowiednie cytaty można było odnaleźć zawsze w tym samym miejscu określonej strony.

W krótkiej przedmowie do swej książki Hitler napisał:

— „W każdej nauce pewne zasady i niepodważalne principia muszą być ustalone raz na zawsze. Dwa tomy, które przedkładam, są więc kamieniem węgielnym naszych wspólnych zadań i zamierzeń”.

Jakie to były zadania? Jakie zamierzenia?

# KOMU „MEIN KAMPF”

Zawsze mnie zastanawiało, jak mogło być tak wielu, tak zaślepionych przed wojną polityków, którzy nie dostrzegali tych celów, do których Hitler dążył. Tym celem była wojna. Hitler otwarcie o tym pisał w „Mein Kampf” właśnie. Niczego nie ukrywał. Otwarcie z jaką głosił swe ludobójcze cele ma wszelkie cechy ekshibicjonizmu. A jednak nie dostrzegano tego. Możliwe, że udawano ślepych i udawano głuchych. To bardzo prawdopodobne. Tylko w takiej atmosferze mogło się zrodzić Monachium, półkniecie Czech i wrzesniowa napaść na Polskę.

A Hitler już na pierwszej stronie swej książki skreślił takie oto słowa: „Ludzie tej samej krwi należą do jednej Rzeszy”.

No właśnie, teraz już wiemy dlaczego Łódź włączono do Rzeszy. Bo w Łodzi i okolicy mieszkało wówczas kilkadziesiąt tysięcy Niemców.

I dalej Hitler:

„Naród niemiecki tak długo nie

będzie miał prawa do kolonialno-politycznej aktywności, jak długo nie zdoła włączyć w jeden organizm państwowy wszystkie swe syny. Dopiero gdy granice Rzeszy obejmą ostatniego Niemca, choć włączą ta Rzesza nie zdoła sama się wyżywić, dopiero wtedy z potrzeby zrodzi się moralne prawo naszego narodu do zdobycia obcej ziemi i roli”.

Hitler był mordercą, był ludobójcą, otwarcie gloryfikował wojnę, przemoc i konieczność zapewnienia „lebensraumu”, zatem przestrzeni ży-

trzymałoby bezpłatnie z rąk burmistrza każde młode małżeństwo niemieckie. Dedykacja była zawsze ta sama, burmistrz życzył młodej parze szczęśliwego małżeństwa i... wielu dzieci. To jasne, fuhrer potrzebował żołnierzy, niemieckie matki miały dostarczyć „Kanonenfutter” dla frontu, mięso armatnie było potrzebne.

Jeszcze może kilka cytatów z „Mein Kampf” dla lepszego uświadomienia jakim jadem to dzieło jest przesiąknięte od strony pierwszych do stron ostatnich.

Strona 739:

„Wojna, w której by chodziło o zapewnienie niemieckiemu narodowi nowej ziemi i roli (Grund und Boden), jest usprawiedliwiona”.

Strona 740:

„Granice państw tworzą ludzie i ludzie je zmieniają”.

„Z całą stanowczością muszę zatakować tych wszystkich pismaków, którzy w takim poszukiwaniu nowych ziem dopatrują się naruszenia rzekomo świętych „praw człowieka”.

Strona 740:

„Rozpocznijmy tam gdzie skończono przed sześciu wiekami. Zatrzymujemy odwieczny pęd Germanów na południe i zachód Europy i kierujemy nasz wzrok na ziemię położoną na Wschodzie („im Osten”)... Jeśli mówimy dziś o nowych dla nas ziemiach, to myślicie przy tym możemy tylko o Rosji i krajach z nią sąsiadujących”.

Chyba wszystko jasne, nieprawda? Teraz krótki jeszcze cytat z „Mein Kampf” strona 430, o polityce jaką Hitler zamierzał stosować wobec Polaków.

„Popierana ongiś przez wielu polityka zmierzająca do germanizacji Polaków jest z gruntu fałszywa. Wynik takiej polityki byłby godny pożałowania. Oto wyraźnie nam obcy rasowo naród zacząłby wyrażać w języku niemieckim obce nam myśli i idee, kompromitując swą niższością wielkość i godność narodu niemieckiego”.

„Jeśli cokolwiek zgermanizowano z korzyścią dla narodu, to zgermanizowano ziemię, którą nasi przodkowie zdobyli i zaludnili niemieckimi chłopami”.

Wiemy o co chodzi. Doświadczylimy tego. Pamiętamy jak „germanizowano” chociażby Zamojszczyznę, gdzie Polacy szli do ziemi, a ziemia szła w ręce niemieckich osadników. Tak zamierzano „zgermanizować” całą resztę Polski. Hitler pisał o tym bez osłonek już w 1924 r. Hitlerowie oczywiście dowiedli potem, że umieli zawarte w „Mein Kampf” idee wcielić w życie z niespotykaną w historii determinacją i z żelazną konsekwencją: Mord i okrucieństwo, terror, tortury i morze krwi — oto drogi, którymi zmierzano do celów postawionych bez żadnych dyplomatycznych upiększeń w „Mein Kampf” właśnie.

Sąd Najwyższy w Karlsruhe uznał w czterdziestolecie wybuchu drugiej wojny światowej, że „Mein Kampf” można sprzedawać. Być może, już wkrótce turystom z Izraela i z Polski wręczać się będzie jako upominek z „Bundesrepublik” dwa opasłe tomy, napisane potwornym, często nieprzetłumaczalnym językiem, które wyszły spod pióra największego mordercy w dziejach ludzkości. Możliwe, że dojdzie do tego wkrótce „Mit XX wieku” niejakiego Rosenberga, dzieła wszystkie niejakiego Streichera nic już nie mówiąc o twórczości doktora Goebbelsa, który każdy numer tygodnika „Das Reich” uświetniał swym wstępniakiem.

Na razie te rzeszy można kupować w antykwariatach.

Być może, następnym krokiem będzie zezwolenie na druk nowych wydań „Mein Kampf”. To prawdopodobne. Otóż agencje podają nową informację. Federalny Urząd Kontroli Druków Niebezpiecznych dla Młodzieży, uznał „Mein Kampf” za książkę dozwoloną dla szkolnej młodzieży. No proszę, lewicowo nastroszeni nauczyciele nie mogą wyklądać w szkołach „Bundesrepublik”. Obejmuje ich „Berufverbot” — zakaz wykonywania zawodu. Ale jak się okazuje ten „Berufverbot” uchylono w stosunku do pewnego agitatora politycznego, który nazywał się Adolf Hitler. Do tego doszło już dzisiaj. A do czego dojdzie jutro?

JAN BĄBINSKI

Niedawno poinformowano, że tzw. ustawodawcze zgromadzenie Południowo-Zachodniej Afryki, stworzone po bezprawnych wyborach zorganizowanych przez Pretorię na terytorium Namibii w końcu ub. roku, postanowiło sformować w maju tego roku „rząd tymczasowy posiadający pełnomocnictwa ustawodawcze i wykonawcze”.

Jak podały następnie zachodnie środki przekazu, „decyzyja ta sprowadzała niemal do zera wszelkie wysiłki Zachodu w pośredniczeniu w tej sprawie”. W ten sposób próbuje się zdjąć z sojuszników Republiki Południowej Afryki odpowiedzialność za dalszą działalność rasistów. W rzeczywistości Zachód robi wszystko, żeby nie dopuścić do niepodległości Namibii, usiłując rozegrać namibijski wariant tego samego „wewnętrznego uregulowania problemu”, jaki obecnie wprowadza się w życie w Rodezji.

Rozwój Namibii warunkują wyłącznie interesy reżimu południowoafrykańskiego. Struktura gospodarki Namibii jest całkowicie ukierunkowana na zaspokojenie potrzeb krajów importujących surowce, w tym

banki, poczta, sieć transportu. Zachód obawia się dojścia do władzy SWAPO, która położylaby kres eksploatacji narodowych bogactw kraju. Zachodnie mocarstwa już od dawna patrzą przez palce na działalność reżimu apartheidu. Nie przypadkiem w ostatnich czasach sytuacja polityczna w Namibii jest odbiciem dyplomatycznych manewrów krajów Zachodu, prób znalezienia tzw. pokojowego rozwiązania problemu. Kryje się za tym dążenie do stworzenia pozorów, że Zachód postanowił wreszcie wywrzeć większy nacisk na RPA. Jednocześnie na wszelkie możliwe sposoby terroryzują one SWAPO, żeby zmusić ją do pójsia na duże ustępstwa i obok tego pomagają rasistom w utrzymywaniu okupacji Namibii.

Z drugiej strony rasistowski reżim RPA postanowił rozpocząć jednostronną procedurę „nadania niepodległości” Namibii, co przekształciłoby ją de facto w trzeci bantustan, równocześnie rozmieszczając tutaj coraz więcej oddziałów wojsk południowoafrykańskich. Ich liczbą przewyższa dziś 60 tys. żołnierzy i oficerów. Rząd w Pretorii tworzy również i wysłał do Namibii tzw. oddziały specjalne. Można sobie wyobrazić na czym polega ich „misja”. Prasa krajów afrykańskich zwraca uwagę, że do walki przeciwko SWAPO zwerbowano także około tysiąca specjalnie przeszkolonych „chłopców” Pinocheta z Chile. Poza tym w skład oddziałów tej okupacyjno-pacyfikacyjnej armii RPA wchodzi tysiące żołnierzy należących do, rozgromionych przez SWAPO, rozbijających ugrupowań UNITA-FNLA, walczących przeciwko Ludowej Republice Angoli.

W sprawie przyszłości Namibii SWAPO zajmuje twarde i niedwuznaczne stanowisko: przeprowadzenie wyborów pod kontrolą ONZ w warunkach wycofania rasistowskich

Diugotrwała i niezwykle gwałtowna tropikalna ulewa, która spadła ostatnio na stolicę Nikaragui, rozmyła w wielu miejscach ziemię i oczom mieszkańców stolicy ukazał się straszliwy obraz.

W samym centrum miasta, niedaleko katedry i pałacu narodowego, na brzegu jeziora Managua, w gęstej trawie wysokości człowieka, wykryto zwłoki młodych ludzi. Szczątki odzieży wskazywały, że byli to sandiniści. Jeden z wojskowych gwardii Somozy, przebywa-

Ale oto ulewa rozmyła rów kilkadziesiąt metrów długości. Ukazały się setki trupów. Wiele zwłok miało zmiażdżone czaszki, połamane nogi i ręce, wyrwane paznokcie. Lekarze stwierdzili, że niemal połowę arestowanych wrzucano do rowu żywcem i zasypano ziemią. Na razie zidentyfikowano jednego więźnia. Nosił pseudonim „Tonino”, miał 15 lat.

Gdy sandiniści wkroczyli do Managui, wielu wierznych stróżów reżimu Somozy — ministrów, wyższych urzędników, oficerów gwardii — znalazło azył w szeregach ambasad. Na przykład w ambasadzie Salwadoru ukryło się 280 osób, w ambasadzie Gwatemali — 200. Wielu w gmachach z flagami Chile, Hondurasu, Paragwaju. Wiedzieli dokąd uciekać... Tęsknili z sobą walczą pełne zagrabionych pieniędzy i kosztowności.

Od czasu do czasu, nocą, naruszając wszelkie dyplomatyczne konwencje, wychodzą poza granice ambasad i strzelają do ludzi. Ubiegłej niedzieli, w stołecznej dzielnicy „Kolonía 14 Września” grupa wrogów rewolucji napadła na oddział milicji narodowej i zastrzeliła 22-letniego sandinistę. Należy jednak podkreślić, że podobne incydenty nie zaciemniają radosnego obrazu dzisiejszej Nikaragui.

W centrum uwagi przywódców rewolucji znajdują się kwestie umocnienia politycznych podstaw nowej władzy, polepszenia ekonomicznych i społecznych warunków życia narodu. I jeszcze jeden problem: zadania obrony rewolucji przed niekończącymi się aktami dywersji, dokonywanymi przez jej zewnętrznych i wewnętrznych wrogów.

Walka o pogłębienie procesu rewolucyjnego trwa.

(T)

# Z PRASY

Jący obecnie w więzieniu zeznał, że 15 lipca, dwa dni przed ucieczką Somozy do USA, brał udział w zabójstwie grupy żołnierzy Frontu Narodowego im. Sandino, którzy dostali się do niewoli. Ilu ich było — nie wie. „Być może piętnastu, a może dwudziestu pięciu. Było ciemno i nie wie na pewno”.

Prawie na przedmieściu Managui, na cmentarzu miasteczka Mocron, leżącym niedaleko koszar gwardii narodowej, woda rozmyła ogromny rów. Wyjaśniło się wtedy, gdzie zniknęło jeszcze około 500 więźniów, których trzymano w celach tortur. W ostatnich miesiącach dyktatorskiego reżimu więźniów przywożono tutaj samochodami ciężarowymi. Wtrącano ich do cel i rozporządzano o ich losach.

Kiedy żołnierze-sandinisci wyzwolili Mocron, okazało się, że w koszarach i celach nie było nikogo. Gwardziści uciekli. Ale gdzie podziali się więźniowie? Odpowiedzi na to pytanie nie było.

Ze względów, które raczej dla tych co pamiętają hitlerizm, są oczywiste, w RFN od lat już panuje duże uczucie na to wszystko, co o narodzie niemieckim myśli się za granicą. Jacy są dzisiejsi obywatele „Bundesrepublik”? Czyż się różnią od dawnego wizerunku typowego Niemca? Czy w ogóle ten obraz w czymkolwiek się zmienił?

Dla zbadania tego powołano w Bonn Fundację im. Aleksandra Humboldta. Fundacja zaprasza nad Ren zagranicznych naukowców. Wszystkie związane z tym koszty pokrywa. Prosi tylko o jedno: po rocznym u nas pobycie napiszcie krótko esej o wrażeniach z „Bundesrepublik” i wyśleszcie. Niechaj to będą uwagi szczerze i otwarte. Przecież wiadomo nie od dziś, że prawdziwa cnota krytyki się nie boi.

Tych prac zagraniczni naukowcy złożyli w Bonn blisko 300. Posłużyły Barbarze Goth do szerszego na ten temat opracowania. Jej dzieło ukazało się właśnie w nadreńskich miastach nakładem znanego w Bonn wydawcy dr J. Raabe. Więc co sądzą inni o współczesnych Niemcach z Republiki Federalnej? Co cudzoziemcy razi, co podnosi na duchu, a co demoralizuje?

Od razu w wstępie podkreślić by wypadało, że wrazeniami z Bonn dzielili się ludzie z różnych wypraw dzie kontynentów, którzy wszyscy byli jednak gośćmi tegoż Bonn. A to siłą faktu wiąże i krępuje. Gość zawsze czuje się niejako zobowiązany do zdawkowych chociażby komplementów pod adresem gospodarzy.

A jednak praca Barbary Goth zbytniego zachwytu nie wzbudziła. Na uspokojenie umysłów w Bonn nie wpłynęła na pewno.

Otóż obraz jaki z relacji zagranicznych stypendystów się wyłania, zbyt różowy nie jest. Nie jest nawet jasny. Powiedziałbym — jest raczej

mroczny i dosyć zgoła ponury. Barbara Goth pisze w swym sumującym te relacje opracowaniu.

„Niestety, wcale się nie sądzi, że jesteśmy spontaniczni, serdeczni, weseli, szczerzy i pełni radości życia. Nie stwierdzono u nas fantazji, zdolności improwizacyjnych, chęci ryzyka, zręczności i talentów towarzyskich. Najcięższe, że mimo rzucającego się w oczy dobrobytu, wszyscy u nas wokoło narzekają i „psioczą” na co tylko się da. Nie jest to naród, który można by uznać za szczęśliwy — tak się o nas mówi.”

# RFN A CUDZOZIEMCY

Dalej przeczytać można w tym opracowaniu, że Niemcy z RFN są na ulicy nazbyt pewni siebie, egoцентриczni, brutalni, agresywni, niecierpliwymi, nieuprzejmymi w ogóle pod każdym względem „schrecklich”, zatem straszną. Urzędy są sformalizowane, a biurokracja kwitnie w nich w najlepsze. Szkoły zbyt są szierarchizowane i reformom niedostępne. Stwierdzono igranie w RFN solidności w życiu i zdyscyplinowania obok rażącego ubóstwa w stosunkach między ludzkimi. Każdy żyje tu dla siebie i dla swej rodziny w myśl egoistycznej zasady, że „to jest dobre, co jest dobre dla mnie”.

Jeden z argentyńskich lekarzy napisał: „Co dla was Niemców jest najważniejsze to pieniądź i czas, by spędzić urlop jak najbardziej przyjemnie.”

Inni dodają: „Niemcy z „Bundesrepublik” mówią wyłącznie o cenach, podatkach, autach i mieszkaniach.”

Biedy w miastach RFN nie zauważono. Niemal wszyscy zagraniczni go-

ście spostrzegli natomiast wyniosłość i pański sposób zachowania się miejscowych w stosunku do cudzoziemskich robotników. Jeden z tureckich filologów stwierdził:

„Kiedy Niemiec widzi, że przed nim stoi cudzoziemiec, staje się natychmiast sceptyczny. Pyta też od razu, skąd się pochodzi, kiedy się dowiaduje, że ten ktoś obcy wywodzi się z północnej Europy, od razu zmienia się na twarzy i staje się serdeczny. Jeśli ten ktoś obcy przyjeżdża z południowych krajów, wówczas Niemiec staje się wyraźnie ponury i powściąg-

liwy. Zauważyłem, że dla wielu nawet ktoś z południowych krajów jest do zniesienia pod warunkiem, że ten ktoś nie jest „gastarbeiterem”. To dziwne. Przecież to Niemcy zaprosili do siebie „gastarbeiterów” i to „gastarbeiterzy” pomogli Niemcom wybić się do obecnego dobrobytu.”

Więc jaki jest wizerunek współczesnego Niemca z RFN w oczach zagranicznych stypendystów Fundacji im. Humboldta w Bonn? Dość złoty. To jasne. Nic nigdy w świecie nie składa się z jednego tyłko kotora. Wydaje się wszakże, że w omawianym wizerunku ciemnawe barwy przeważają.

„Niemiec razi i odpycha, trudno z nim o przyjazne kontakty, to człowiek, dla którego korzyści materialne są czymś w życiu rostrzygującym.”

Pewien Japończyk napisał: „Nam, Japończykom, Niemcy kojarzą się z piwem, Beethovenem i Hitlerem.”

J. B.

# RPA — OBLĘŻONE PAŃSTWO

także RPA. Uzależnienie sytuacji ekonomicznej tego kraju jest bezpośrednią konsekwencją panoszenia się południowoafrykańskiego kapitału, który eksploatuje, na spółkę z zachodnimi korporacjami, jego bogactwa naturalne.

W Namibii działa dziś 88 zagranicznych monopolów. Podstawę tej gospodarki stanowią: górnictwo, w tym 60 proc. eksportu, przemysł rybny — 25 proc. eksportu, gospodarka rolno — 15 proc. eksportu. Dwie kompanie górnicze „De Beers” i „Zumbes Corporation” eksploatują około 90 proc. całej produkcji tej gałęzi przemysłu. Tylko w 1978 roku amerykańskie, angielskie i zachodniemieckie monopole wywoziły z Namibii ponad milion karatów diamentów, 28 tys. ton miedzi, 6 tys. ton litu, 48 tys. ton cynku. „De Beers”, do której należy 20 proc. światowego wydobycia diamentów i która kontroluje na rynku światowym 83 proc. transakcji tym minerałem, zgarnia trzecią część swoich dochodów „z konta” Namibii. Jej miedź, ołów, cynk, wanad — pokrywają potrzeby przemysłowej maszyny RPA.

Przemysł rybny jest także całkowicie zmonopolizowany przez 6 wielkich południowoafrykańskich kompanii, które co roku ciągną około 75 milionów dolarów czystego zysku z wywozu konserw, oliwy i paszy dla bydła, do krajów Południowej Afryki i Europy. Gospodarka rolina znajduje się w rękach Afrykanerów i przedstawiciele osadników niemieckich zamieszkałych w Namibii (przeważnie oficerów byłych formacji SS i Wehrmachtu).

Już ponad 90 lat naród Namibii pozostaje pod kolonialnym uciskiem. Po II wojnie światowej, od 1946 roku, Namibia, jako terytorium powiernicze ONZ, pozostawała pod administracją ówczesnego Związku Południowej Afryki. W 1966 roku Zgromadzenie Ogólne ONZ uznało ten mandat za wygasły i zażądało przyznania Namibii pełnej niepodległości. RPA odrzuca to wezwanie. W tej sytuacji, dwa lata później, Zgromadzenie Ogólne ONZ powołało Radę NZ d/s Namibii. W 1972 roku ruch narodowyzwolenczy Namibii — SWAPO (South West Africa Peoples Organisation of Namibia) zostaje uznany przez Organizację Jedności Afryki za oficjalnego reprezentanta ruchu narodowyzwolenczego Namibii i jednocześnie otrzymuje status obserwatora przy Komisji ONZ d/s Dekolonizacji. Również ONZ uznała SWAPO za jedynego prawnego przedstawiciela narodu Namibii.

Po uzyskaniu niepodległości SWAPO planuje przeprowadzenie reformy agrarnej, która przewiduje nacjonalizację ziemi należącej obecnie do białych farmerów, anulowanie koncesji wydanych po 1966 roku na prawo eksploatacji mineralnych bogactw kraju, kiedy to ONZ uznała aneksję Namibii przez RPA za bezprawną. Pod kontrolą narodu znajdują się wszystkie obiekty przemysłowe,

wojsk z terytorium kraju. Tymczasem SWAPO kontynuuje i z każdym dniem nasila zbrojną walkę wyzwolenczą, uważając ją za jedyny środek wyparcia rasistów z Namibii. W polu widzenia SWAPO pojawiła się niedawno nowa nieprzejrzana siła: konserwatywny rząd Wielkiej Brytanii. Premier tego rządu, Margaret Thatcher, jest starym sojusznikiem apartheidu, a w skład gabinetu wchodzi wielu przyjaciół RPA. Nowy minister spraw zagranicznych, lord Carrington, jest dyrektorem „Berkeley's Bank” i „Rio Tinto Zinc” — ponadnarodowych monopolów znanych ze swych operacji na południu Afryki; nowy minister finansów, Geoffrey Howe, odwiedził RPA na zaproszenie południowoafrykańskiej fundacji, zajmującej się reklamowaniem apartheidu za granicą. Ten wykaz można by ciągnąć znacznie dłużej. Rząd konserwatywistów reprezentuje grupy wielkiego biznesu związane z białymi reżimami w Południowej Afryce.

Perspektywa prowadzenia przez Londyn bardziej otwartej polityki popierania apartheidu kojarzy się z coraz bardziej pewną siebie i wojowniczą postawą RPA. W ciągu ostatnich 20 lat wojskowy potencjał RPA gwałtownie wzrósł, przy czym ogromne znaczenie ma fakt, iż RPA, dzięki pomocy Zachodu, tworzy własny potencjał jądrowy. Mocarstwa zachodnie zawsze tolerowały apartheid i nie podejmowały przeciwko niemu żadnych kroków. Próbowaly wprawdzie niekiedy złagodzić szczególnie ostre ekscesy tego reżimu i pobudzić go do przybrania mniej odrażającego oblicza. Ale reżimowi liderzy uważają dziś, że takie „elastyczne podejście” nie jest im potrzebne. Premier Botha otwarcie mówi, że „RPA jest niezależna od wszelkich wpływów, że nie ulegnie żadnym naciskom mocarstw zachodnich, które, ze względów taktycznych, żądałyby wprowadzenia reform w systemie reżimu”.

Następstwa takiej postawy reżimu w Pretorii, na co szczególnie uwagę zwracają obserwatorzy polityczni krajów rozwijających się, zagrożają egzystencji narodów południa Afryki. Strategia RPA jest jasna: reżim pójdzie na wszystko, żeby tylko nie dopuścić do realnego przekazania władzy narodom Namibii i Zimbabw, ponieważ są one mu potrzebne jako państwa buforowe w obronie apartheidu.

Pretoria dąży do „wewnętrznego uregulowania” w tych obu krajach, żeby izolować SWAPO w Namibii i Patriotyczny Front w Zimbabw. Niebezpieczeństwo, które wynika z obecnej strategii RPA i jej współpracy z brytyjskimi konserwatywami jest zupełnie oczywiste. Ale oczywiście jest również i to, że zbliża się moment wyzwolenia południa Afryki. Wskazuje na to wiele oznak, w tym informacje o upadku morale wśród wojskowych rodezyjskich.

JERZY CZECH

# KRONIKA TYGODNIA

Zmarły prezydent wniósł znaczny wkład w sprawę pokoju i bezpiecznej dla narodów stabilizacji na świecie. Stąd tak liczny udział delegacji w jego pogrzebie. Śmierć Neto jest stratą dla Afryki, dla szerokiego ruchu krajów niezależowanych, dla całego postępowego świata. Któryś z komentatorów napisał: „wraz ze śmiercią Neto zniknęła z widowni politycznej wielka historyczna postać afrykańskiego ruchu demokratycznego”. Inny dodał: „odszedł człowiek, który wniósł wiele w obronę ludów uciskanych”. Jest znamienne, jak dużo uwagi poświęciła prasa światowa przywódcy rewolucji angielskiej.

A teraz powróćmy do tematu z poprzedniej „Kroniki”. Chodzi o przedterminowe wybory w Portugalii. Właśnie ogłoszony został ich termin: 2 grudnia. W połowie minionego tygodnia prezydent A.R. Eanes wyjaśnił przed mikrofonami radiowymi, dlaczego rozwiązał parlament i ogłosił o rok wcześniejsze wybory. Dla Portugalii największym zagrożeniem jest kryzys gospodarczy i na przywódcach partii politycznych spoczywa obowiązek stworzenia warunków do konsekwentnej polityki ekonomicznej. Niestety, partie wykazały niezdolność do utworzenia trwałej koalicji rządowej. Przedterminowe wybory stały się przeto jedyną drogą, na jakiej można rozwiązać problem. Niestabilizacja władzy stwarza realne zagrożenie dla narodu i młodej republiki demokratycznej.

Przypomnijmy, że zapowiedziane na grudzień wybory

będą już czwartymi w ciągu pięciu lat, jakie upłynęły od obalenia dyktatury Salazara. Co więcej — zgodnie z konstytucją portugalską wybory przedterminowe nie wykluczają wyborów, przeprowadzonych w normalnym trybie, a termin tych ostatnich przypada na październik przyszłego roku.

Wstępne prognozy nie zapowiadają poważniejszych zmian w układzie głosów, a zatem i podziale mandatów. Lewica w dopiero co rozwiązany parlament nie wykorzystala szansy — miała większość, ale socjaliści, jak wiemy, odmawiali współpracy z komunistami. Czy tak będzie i po grudniowych wyborach?

Wydużmy nieco temat wyborczy, przenosząc się jednak do Indii. Agencje doniosły, że liczne koła przemysłowe gotowe są wesprzeć Kongres Indry Gandhi.

Wyjaśnijmy, że istnieją w Indiach dwie konkurencyjne partie kongresowe: jedna Indry Gandhi, druga zwana obecnie kongresem oficjalnym. Obie zaczęły się liczyć w obietnicach wyborczych, równocześnie wzajemnie siebie oskarżając. Ich programy społeczno-gospodarcze są podobne i obie rywalizować będą o głosy tych samych tradycyjnych sympatyków. Kongres Indry Gandhi może wyraźniej tylko akcentować oświeceniowe połączenia interesów wielkiego biznesu, warstw średnich, robotników, chłopstwa i biedoty wiejskiej. W sprawach polityki zagranicznej czyni on zarzut ostatniemu rządowi, iż dopuścił do upadku prestiżu i autorytetu moralnego Indii i nie był konsekwentny w polityce niezależowania.

Jak już pisaliśmy wcześniej — walka przedwyborcza w Indiach będzie z pewnością miała znacznie ostrzejszy przebieg niż kiedykolwiek, a szanse zwycięstwa Indry Gandhi nie są wcale małe. Przypuszcza się bowiem, że znaczna część wyborców puści w niepamięć jej wykroczenia z ostatniego okresu rządów, kiedy to wprowadziła stan wyjątkowy.

Jako ciekawostkę — na zakończenie przeglądu aktualności międzynarodowych — odnotujmy depesze z Pekinu, informujące o demonstracji przeciwko „biurokracji, niesprawiedliwości, głodowi i przesławianiom”, jaka odbyła się pod koniec tygodnia. Padaly tam również słowa krytyczne pod adresem niezjącego Mao Tse-tunga za rozpętanie tzw. rewolucji kulturalnej.

Obserwatorzy zastanawiają się, co znaczy może owa demonstracja i kto za nią się kryje. Czy chodzi znów o jakieś „przegrupowanie sił” w kierownictwie? Pytanie na razie musi pozostać bez odpowiedzi.

W. SŁAWSKI

Podczas oglądania obrazów i grafik austriackiego artysty o światowej sławie — Rudolfa Hausnera — nieodparcie jawią się pytania: czy założenia i poetyka surrealizmu w sztuce są jeszcze aktualne, czy mogą być w pewnym choćby stopniu adekwatne do współczesności pozaartystycznej, czy surrealizm jest już tylko zamkniętą formułą w historycznym rozwoju sztuki, czy może jednak ewoluuje szukając nowych form przekazu treści zindywidualizowanych, niespokojnych, twórczych?

Przedstawiona łódzkiej publiczności w Ośrodku Propagandy Sztuki staraniem Biura Wystaw Artystycznych w Łodzi wystawa twórczości Rudolfa Hausnera ma charakter prezentacji monograficznej, pokazane zostały na niej bowiem prace reprezentujące sztukę tego artysty w okresie lat 30-tych oraz powojennych aż do chwili obecnej.

# SZTUKA, SEN I SAMOPOZNAWANIE

„Martwa natura z lampą naftową”, „Dwa ulicznicy”, „Portret starej kobiety” powstały w okresie od ukończenia przez Hausnera w 1936 roku Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu do roku 1938, kiedy Reichskulturkammer wydało zakaz wystawiania jego prac. W wymienionych, pierwszych obrazach Hausnera widoczny jest wpływ ekspresjonizmu na jego twórczość. Do uprawiania sztuki powrócił on dopiero po zakończeniu wojny w 1946 roku. Założył wówczas wspólnie z Edgarem Jene, Ernstem Fuchsem, Wolfgangiem Hutterem i Fritzem Janschą Gründigiem grupę surrealistów. Przyłączyli się do niej później Anton Lehmden i Erich Brauer. W 1959 roku ukształtowała się z ich doświadczeń słynna już dzisiaj Szkoła Wiedeńska realizmu fantastycznego.

Sztuka Rudolfa Hausnera, jak podkreśla on sam i jej interpretatorzy, wchodzi głęboko w doktrynę surrealistyczną. Gdyby jednak pozostała jedynie w kręgu nakazów automatyzmu psychicznego byłaby martwa. Relacje współdziałania świadomości i podświadomości w psychice człowieka zajmują czołowe miejsce w artystycznych rozważaniach Hausnera. Znajdują się one w stanie niekiedy konfliktowego dialogu, polemiki z surrealistyczną ortodoksją.

Co jednakże z surrealizmu w malarstwie i grafice artysty jest obecne wyraźnie? Przede wszystkim oniryczne widzenie sztuki i treści życia. Hausner konstruuje świat sztuki w oparciu o próbę pełnego poznania siebie, własnego fizjologicznego, psychicznego i społecznego człowieczeństwa. Nie uznaje jakiegokolwiek prymatu snu nad stanem czuwania, czy odwrotnie. Stawia pomiędzy nimi znak równości. Są one równorzędne w procesie kształtowania osobowości twórcy, aktu twórczego, dzieła sztuki.

Podczas rozmowy na werniszu Rudolf Hausner powiedział: — Rzeczywistość jest sprawą mentalną. Realności doświadczamy wszyscy. Nasze realności

jednak różnią się. Dlatego mentalność rzeczywistości nie jest abstrakcją. Jest ona filozofią człowieka, jego egzystencji. Realnością jest, że człowiek ma sny. Jest to tak ważna realność, jak ta tu teraz (wyjął mi z ręki długopis, którym notowałam) gdy biorę ten długopis, do ręki. Każdy wybór jest decyzją mojej inteligencji i ja go akcentuję. Ale rzeczywistość to obydwójce: długopis i sen.

Koncepcja osobowości człowieka jako wzajemnie warunkujących się w reakcjach na rzeczywistość doświadczoną podczas jawy i snu, świadomości i podświadomości rozwinęta jest w obrazach datujących się od 1956 roku i składających się na zwarty cykl, którego postacią centralną jest Adam.

Postać ta ma rysy twarzy artysty. Zdeformowane w pionie lub poziomie kompozycji, niekiedy rozbite na rytmy powtórzeń, opisane

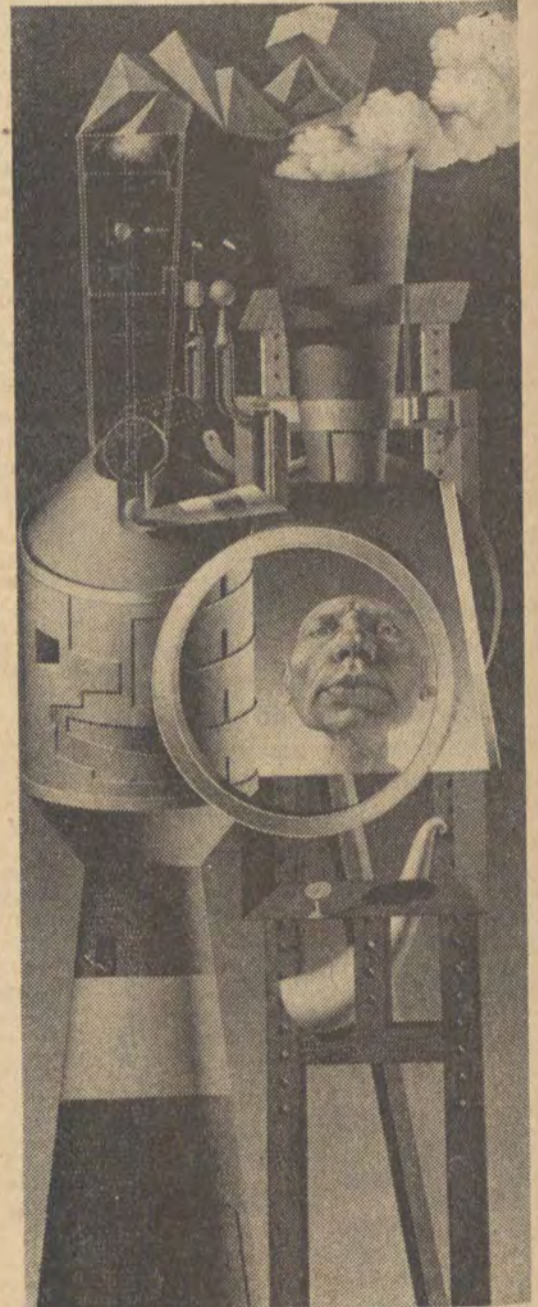
struktury psychiki umiejscowione w konwencjonalnej, pozakonkretniej, horyzontalnej, przestrzeni otwartej nie tylko dla własnego ja, ale i dla świata przedmiotów, a w nim innego człowieka — kobiety — Ewy, są dowodem poszukiwań filozoficznych artysty. Wykorzystuje do nich Hausner mit o Adamie i Ewie realizujący się ciągle w każdym mężczyźnie i każdej kobiecie. Jego artystyczna wymowa w sztuce Hausnera nie jest ograniczona tylko do treści biblijnej. Wykracza poza nią daleko, wchodzi w rzeczywistość współczesną i społeczną.

Adam znajduje się w sytuacjach egzystencjalnych wszystkich ludzi. Dzieją się one pomiędzy urodzeniem a śmiercią, dotyczą konieczności opowiedzenia się człowieka po stronie kreacji nie tylko zewnętrznego świata, społeczeństwa, ale przede wszystkim stałego pozostawania w stanie gotowości poznawczej względem siebie samego. Mając bowiem świadomość funkcjonowania i treści własnej świadomości człowiek realizuje się wciąż na nowo, kreując siebie jako byt wykraczający poza siebie samego w stronę wolności i odpowiedzialności.

Obrazy i grafiki Rudolfa Hausnera zaskakują widza swoją barwnością, znakomitą opowieścią warsztatu. Wśród grafik przeważają: litografia, sitodruk, akwaforta. Obrazy o przedziwnie wyglądzonej powierzchni malowane są na nowopanie lub płycie pilśniowej temperą i olejem z żywica. To właśnie nadaje im lustrzaną wręcz gładkość powierzchni, pogłębia przestrzenne oddziaływanie barwy przy ostrym, wyrażającym potraktowanym konturze i linii w stosunku do subtelnego, przejściowego odcieni modelowanej bryły i tła. Ta sprawność techniczna wpływająca na potęgowanie iluzoryczności jest podstawą do sformułowanego pytania: czym jest dla pana fotografia?

Rudolf Hausner odpowiedział: — Tu w Łodzi w Muzeum Sztuki widziałem świetną wystawę fotografii Witkiewicza. Była ona jakby specjalnie dla mnie. Malarz wykorzystywał wszelkie źródła informacji. Nie jestem fotorealistą, ale używam fotografii. W niektórych obrazach fotografia gotowa jest ich unerwieniem. Dla mnie samego jest środkiem pomocniczym. Traktuję ją jako źródło informacji i pamięci.

Do odbioru sztuki Hausnera niekonieczna jest znajomość założeń surrealizmu, freudyzmu i egzystencjalizmu. Wystarczy dobrze przyrzeć się obrazom, a już zostaniemy wciągnięci w grę iluzji, rzeczywistości, deformacji, wyobraźni, tajemnicy. Jeżeli jednak przywołamy naszą wiedzę, zobaczymy twórczość austriackiego artysty w kontekście nie tylko naszych własnych intelektualnych i życiowych doświadczeń, ale także w kontekście kulturowym niosącym w sobie bunt przeciw alienacji



„Adam po grzechu pierworodnym II” — 1973  
Foto: R. Karwowski

społecznej i przemysłowej, zagrożeniu przed utratą głębi i prawdy osobowości, indywidualności człowieka.

MARIA KĘPIŃSKA

## NIE TYLKO O AKTORACH

„Aktorzy prowincjonalni” Agnieszki Holland są debiutem (tak o tym filmie się mówi), jeśli przyjąć do nich kryterium nieco formalne, zamknięte w zawilimym określeniu — pełnometrażowy fabularny film kinowy. W istocie są „Aktorzy prowincjonalni” utworem autorki o bogatym już i wszechstronnym doświadczeniu artystycznym. Przypomniły mi kilku filmów (jednak filmów) telewizyjnych i współczesnych „kinowego” filmu „Złota próba”, jest reżyserem wybitnego spektaklu telewizyjnego „Lorenzaccio”, reżyserem teatralnym pracującym w teatrach prowincjonalnych, jest także współscenarzystką filmu Andrzeja Wajdy „Bez zniczenia”. Sądzić zatem należy, że posługiwanie się słowem debiut w odniesieniu do „Aktorów prowincjonalnych” wynika z ogólnej sytuacji panującej w naszej kinematografii, w której do niedawna czekanie na debiut trwało latami. Sytuację tę w znacznym stopniu zmieniła telewizja, która stała się prawdziwym poligonem fabularnych doświadczeń reżyserów młodych filmowców. Prawdziwej nobilitacji, i trudno się temu dziwić, szukają oni jednak w ramach fabularnego filmu kinowego, choć wspominając przykład najwyższej próby, czyli twórczość Krzysztofa Zanussiiego, uświadomiamy sobie, jak również wiele można powiedzieć i na małym ekranie.

Czeka nas w tym sezonie, cała fala owych debiutów w kinowym filmie fabularnym. Na IX Spotkaniach Kozłanińskich, na których w szranki festiwalowych bojów stają między innymi debiutanci, znakomicie zaprezentowali się Wojciech Marczewski („Zmory”), Piotr Andrejew („Kilncz”), Filip Bajon („Aria dla atlety”). Ci dwaj ostatni reżyserzy, związani dotąd głównie z WFO, legitymują się zresztą interesującym dorobkiem — twórczym w zakresie filmu krótkiego. Znanie już „Zmory”, a także dwa nowe wspomniane filmy nie zawiodą oczekiwań, tak jak i „Aktorzy prowincjonalni”, którzy miłośnikom kina potwierdzają niewątpliwie talent i umiejętności Agnieszki Holland, która, startując w Kozłaninie, jednak w grupie debiutów, zdobyła główną nagrodę Festiwalu „Młodzi i film”.

Postępując się potoczny już kryterium kina autorskiego, przypomniemy, że Agnieszka Holland jest scenarzystką i reżyserem tego filmu. Uznać go zatem wypada za wypowiedź bardzo osobistą, w której środowiskowy temat jest pretekstem do rozważań natury ogólniejszej. Jest to zresztą znamienita cecha innych filmów kozłanińskich festiwalu. Odnosi się ona także do, nie nagrodzonego w Kozłaninie, lecz w Moskwie, „Amatora” Krzysztofa Kieślowskiego i „Kilnczu” Piotra Andrejewa.

Powróćmy jednak do dzieła, które już jest na ekranach, traktując je jako zwiastuna filmów, których cechą spajającą jest głęboka społeczna refleksja moralna. Akcentuję tu słowo społeczna, bowiem opowieści o jednostkowych losach we wszystkich tu wspomnianych wypadkach mają swe szerokie odniesienia. Wpisane są we współczesne problemy i zjawiska naszej, właśnie społecznej egzystencji.

I choć siła „Aktorów prowincjonalnych” jest znakomitą rysunek środowiska, to zdajemy sobie sprawę, że opowiedziana w filmie historia dzieła się może wszędzie i nie aktorzy prowincjonalni muszą być jej podmiotem. Osobistość tonu tego filmu wynika oczywiście z faktu, że poruszając się na terenie bliskim sobie zawodowo, mówi także Agnieszka Holland o świecie sztuki i o sznancach artysty realizującego się w różnych jej dziedzinach.

Tematem głównym jej filmu jest sprawa bezsilności ludzi zdolnych, zatapiających się w grzeszku marazmu i rutyny, którym układy panujące w polu ich działania nie pozwalają wybić się ponad przeciętność. Sytuacja ta, rodząca się w określonym klimacie moralnym, pociąga za sobą postawy, które poddaje Holland wnikliwej socjologicznej analizie. Pewien (na tle „Amatora” czy „Kilnczu”) historyczny ton filmu Holland jest, jak się wydaje, pochodną stylu życia i bycia bohaterów, wywodzących się przecież z pewnego szczególnego środowiska. Gorczy, jaka tonem filmu przepienia, wychodzi jednak poza te determinacje — historia buntu młodego aktora, buntu, który nie kończy się happy endem, może toczyć się poza prowincjonalnym teatrem i poza teatrem w ogóle.

W tym filmie mamy jednak do czynienia z teatrem właśnie i dlatego są „Aktorzy prowincjonalni” także głosem o moralności artysty. Znakomitym pretekstem był tu scenariuszowy — pomysłał Agnieszki Holland, który przyniósł przejmujący punkt odniesienia dla owej szeroko rozumianej moralnej refleksji. Jest nim tekst — „Wyzwolenia” Stanisława Wyspiańskiego, który staje się przedmiotem manipulacji „awangardowego” reżysera. Ten sam tekst Wyspiańskiego jest jednak motorem, który naktywina moralną postawę głównego bohatera. Nie tylko pragnie on grać Konrada, zaczyna myśleć słowami Wyspiańskiego, rozumieć ich sens, stając się one źródłem jego buntu. Oczyszczenia przez sztukę jednak nie będzie, do auto-realizacji nie dojdzie, bunt skończy się dramatycznie-histerycznym powrotem do żony, jedynej ości w świecie zagubionych wartości.

Postać żony wnosi do filmu jeszcze jeden, i to wcale nie marginesowy, wątek tematyczny. To, że jest ona aktorką teatru lalek, przeżywającą swój zawodowy dramat, pozwala kontynuować aktorski temat tego filmu, stwarza jeszcze jeden portret w barwnej galerii postaci. Niezależnie od tego pozwala Agnieszce Holland przeprowadzić piękną psychologiczną analizę życia małżeńskiego — miłości, samotności, buntu i powrołów. Chwilami zadawać sobie można pytanie, kto jest głównym bohaterem tego filmu: on czy ona. Jednak chybą oboje, oboje w doskonałej aktorskiej interpretacji Tadeusza Huka i Haliny Łabonarskiej, która za swą kreację zdobyła nagrodę na wspomnianym wyżej Festiwalu „Młodzi i film”. Dodajmy tu jeszcze, że Agnieszka Holland zatrudniła w swym filmie, w głównych i drugoplanowych rolach doskonałych... „aktorów prowincjonalnych”

EWA NURCZYŃSKA

Powieść Ryszarda Schuberta „Panna Lilianka” należy do najciekawszych i najdziwniejszych książek tegorocznego sezonu literackiego. Wystylizowana została na monolog starej kobiety, rozpamiętującej swe życie, ale jest to utwór niejednorodny, polifoniczny. Zwiastuje z przekrojenie warstwy stylistycznej, posiadającej cechy dokumentalnego zapisu (stąd niekiedy i fonetyczna pisownia) i środowiskowej stylizacji. Stara kobieta rozpamiętuje, lecz nie filozofuje. Jej pamiętnikarska relacja ma wszelkie zalety i wady chwytanej na gorąco wypowiedzi, żywej, nie uporządkowanej, jakby przepisywanej wprost z taśmy magnetofonowej. Jednocześnie zaś — uduchowionej, nadrealistycznej (tę atmosferę dobrze oddają ilustracje Franciszka Maśluszczaka, groteskowe i przerażające).

„Panna Lilianka” — to historia bardzo pięknej i bardzo biednej dziewczyny. Prostej, naiwnej i marzycielskiej (choć nie tylko). Uczciwej i niemądrej (ale do pewnego, rzecz prosta, stopnia). Dziewczynę obdarzono imieniem Ewa, alicji śmiertelnie zakochanemu wielbicielowi przypominała ona wielką gwiazdę lat trzydziestych — Lillian Harvey. Ewa z przyjemnością zostaje więc Lilianką. Od tej pory ponętny snobizm towarzyszyć będzie w jej życiu twardej rzeczywistości. Na tym właśnie polega swoisty urok prozy Schuberta: na przemieszaniu ciekawej atmosfery filmowych romansów z beziternym weryzmem filmowego dokumentu. Słusznie temu w pierwszym rzędzie język utworu, najmocniejszy bez wątpienia atut „Panny Lilianki” — niezwykle precyzyjny, celowo uproszczony, lecz i uduchowiony, nasycony znaczeniami, jedyny acz niewulgarny. Z warstwy

językowej czytelnik dowie się więcej o pannie Liliance i innych bohaterach powieści niżli z przebiegu układających się w fabułę wydarzeń. Niektórzy krytycy twierdzą nawet, iż bardzo swobodnie i kreacyjnie zarazem stosunek pisarza do języka artystycznego, taki właśnie jaki prezentuje w swej twórczości Ryszard Schubert, znamionuje nadciągającą rewolucję w prozie polskiej.

Piękna poznanianka wychodzi: pici, niespełnieniem. Tak więc dla pięknej panny Lilianki istota związku mężczyzny z kobietą zawrze się niemal wyłącznie w trudach i niewygodach dnia codziennego.

W powieści Ryszarda Schuberta granica fikcji literackiej staje się płynna, bowiem autentyzm języka jest w stanie przekonać większość czytelników, że Ewa Zatońska żyła naprawdę i naprawdę miała tyle kłopotów, mimo filmowej zaiste

## PIĘKNA JAK LILLIAN HARVEY

urody. Trudno przewidzieć, czy rzeczywiście będziemy mieć wkrótce do czynienia z rewolucją artystyczno-językową w naszej prozie, może raczej chodzi tylko o to, iż niektórzy młodzi autorzy (obok Schuberta na przykład Jan Drzeżdżon czy Józef Łosiński) mają ambicje odświeżenia wypowiedzi prozatorskiej.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Ryszard Schubert, Panna Lilianka. Część powieści-procesu pod nazwą „Pajac”. Czytelnik Warszawa 1979, nakład 20,320 egz., 147 stron, cena 20 zł.

Nie wolno się dać zwieść tytułowi i prowadzić do teatru dzieci. Młodzieży „Słowo muszkieterskie” nie zaszkodzi, ale w gruncie rzeczy pisane jest nie dla niej, lecz dla starszych widzów zaczynających rozpamiętywać uroki straconej, czy też mijającej młodości. W najnowszej wersji przód bohaterów powieści Dumasa, przygotowane przez bułgarskiego poetę i dramaturga Walerego Petrowa, Portos ma chory pęcherz, Atos okulary i lumbago, każdego z nich już strzyka w kościach. Jedyne co jeszcze pozostało im dobrego, to pamięć, choć trochę też już jak w tym dowcipie — zaraz, zaraz, co to ja miałem takiego dobrego, zaraz, zaraz, no! Aha — pamiętać...

Widownia, wraz z recenzentami, przyjmuje takich bohaterów dawnych lektur z sympatią, przerwy w foyer teatru są wypełnione nostalgiami; kawki się napijemy — pyta ktoś przy bufecie. — Nie, nie, o tej porze? — Raczej lekkiej herbatki. — Może czekoladkę? — Dziękuję, proszę pana, zoladek. I tak przelatuje czas przerwy, ożywiany wspomnieniami walk z zapamiętanym, odważnym wystąpieniem na zewnątrz, rozgrywką o stanowisko głównego specjalisty. Jedyne najmłodszy z kółkich recenzentów wybrzydza, że Petrow nie wyciągnął z konwencji tyle, ile by się dało, maksymalista jest i ma rację, bo jak na cały spektakl nutka rzewności i straconych złudek, nie wystarczy, gdyż, zaraz, o czym to ja mówiłem...?

Petrow dostarczył pretekstu, może i blaha, ale zasługą realizatorów, wraz z aktorami jest, że pretekstu nie zmarnowali. Przedstawienie ożywiło reżyserkami pomysłami Vaclava Lohniského i Ivana Zmatlika toczy się na ogół warty, sporo w nim szarzy (tak, jak to, bywa we wspomnieniach z bohaterów przeszłości), szczerze szpad, strzelaniny i łupoty. Autor muzyki, Petr Mandel świetnie się zestroił z intencją spektaklu, niesie jego galopadę i liryzm. Także scenograf, Vladimír Synek, miał dobry pomysł z wmontowaniem na scenie podestu, spełniającego różne funkcje, dającego możliwość ekonomicznego wykorzystania niewielkiej powierzchni sceny. Lekka pretensja miałymy tylko do niego o pojawiające się czasem brudne szmaty, mające symbolizować (chyba) rozpad i rozkład, upływ czasu (po cóż podkreślać to,

co i tak jest dostatecznie podkreślone w tekście). Być może przydałby się też dalek idąca indywidualizacja kostiumów (Ludmila Pavlousova), wyraźniej określająca sylwetki głównych bohaterów. Trochę się mylą, niezbyt zróżnicowani fizycznie, Atos z Aramisem, Portos z d'Artagnanem, ale być może mylą się starszym recenzentem, którzy nie pamiętają już kto jest kto...

Bo w ogóle, aktorzy sprawiają w tym

nych wyobrażeń o Anglikach to Jerzy Korszyn jako Buckingham, kardynałski jest Bohdan Sobiesiak jako Kardynał itd. itp.

Mniej wdzięczne zadanie do spełnienia miały panie, do których i Pietrowi, i Lohniskiemu się przyłożyli. Trochę są więc blade niż panowie, choć nie wypadają z tonu przedstawienia. Madeleine Magdaleny Cwenówny jest dziadziutkowata, dziewczęca, przydałoby się aby u-

Gdy rozpoczynam ten tekst dobiega właśnie końca kolejny Festiwal Filmu Polskiego — w Gdańsku. Telewizja — wielki jałmużnik, dobroczyńca, ale jednocześnie dłużnik polskiego filmu — towarzyszyła festiwalowi w kilku emisjach, specjalnie powołanego na tę okazję, studia. Studio to, sprawnie prowadzone przez Elżbietę Dreyll-Glińską, rzetelnie informowało o festiwalowych wydarzeniach. Jego główną zaletą było to, iż na plan pierwszy wysuwało twórców, dając im możliwość zaprezentowania siebie i swoich filmów. Festiwal Gdański, jak rokrocznie, jeden z najważniejszych ewenementów naszego życia kulturalnego, zastępował jednak na bogatszy i ciekawiej rozległszy serwis informacyjny. Szersza panorama fe-

potwierdzającym regule. Nie wspomnę również o cyklu „Sytuacje rodzinne” — oceniano je na różne sposoby. Gdyby spojrzeć na nie z perspektywy, która wyżej została ustalona, to i w stosunku do tych dokonań TVP można byłoby mieć zastrzeżenia. Zwłaszcza do „Sytuacji rodzinnych”, które rozgrywają się na standardowej przestrzeni M-3, między zlewomymywałkiem, pralką a małym wygodnym łóżem małżeńskim. Przez ten mały (bardzo) realizm przeziernia moźół scenarzystów wiążących epizod z epizodem. Wszystkie te uwagi biorą się stąd, iż słyszę w relacjach z Gdańska o „kinie niepokoju moralnego”, „fali niespokojnego sumienia”, o „kinie żarliwym”. Ale i mam okazję potwierdzać te relacje chodząc na polskie

# RETROMUSZKIETERY

przedstawieniu wiele satysfakcji. Podoba im się to w czym grają i udaje im się ten następny zyczliwości dla teatralnej sprawy przekazał widowni. O ile nie są nazbyt zróżnicowani fizycznie, to przecież umieli przekazać w swych nie nazbyt skomplikowanych psychologicznie postaciach, także zarysy jakichś charakterów. Atos Zbigniewa Bielskiego, to już pogodny, z rzadka szarżujący gentleman, d'Artagnan najbardziej chyba żywiłowy, grany jest z humorem przez Andrzeja Łagwę, Portos Mieczysława A. Gajdy niesie z sobą rozegraną na półtonie ociężałość umysłową, zaś Aramis Leszka Benke gwałtowność ukrywana pod miarę dobrą wychowaniem.

W przedstawieniu tym, w którym postaci nie rozwijają się, są przez widownię zastane w określonym już kształcie, trzeba charakteryzować ostro, jak by się miało na twarzy maskę. Tak też czynią i pozostali współtwórcy spektaklu. Zabawną sylwetkę konformisty tworzy Ireneusz Karamon jako De Treville, bardzo rudy i bardzo sprytny królem jest Zbigniew Niewczas, w kierunku dobrej błazenady popchnął swą sceniczną postacią Michał Szewczyk (Jussac), takimż był Tadeusz Sabara jako Bernajoux. I tak dalej, i tak dalej — ocena potocz-

meła rozstawić muszkietierów po kątach nie tylko dlatego, że pozwalają jej na to. Zwykle pamiętamy Romanę Kamińską — Kaczmarek, graną jak bufetowa w GS-ie, ale bo to też żywą napisaną rolę. Inne postaci — Królową (Alicja Knasi), Panią Bonacieux (Maria Wawszczyk), Kety (Diana Stein — gra na zmianę z Magdaleną Cwenówną) pamiętam jako sprawnie zagrane epizody. To, że Petrowi wyszeł długopis przy pisaniu postaci kobiecych, zaważyło zwłaszcza na finale pierwszej części spektaklu, kiedy to zaczynamy powoli myśleć o dzwonku na przerwie. Ale w ogóle wszystko leci dobrze.

I to by było tyle. Więcej nie pamiętam, ale proszę mi wybaczyć, „Trzech muszkietierów” czytałem bardzo, bardzo dawno temu. Na przedstawieniu bawilem się nieźle i to chyba zapamiętam jakiś czas...

Jerzy Katarasiński

Teatr Powszechny w Łodzi, Walery Petrow „Słowo muszkieterskie”. Przekład Anton Bewetakow i Andrzej Zarkiewicz, reżyseria V. Lohnisky i I. Zmatlika, scenografia V. Synek, kostiumy L. Pavlousova, muzyka P. Mandel, kierownictwo muzyczne Bogdan Pawlowski, choreografia Włodzisław Trzczeński, układy walk — Ivan Chrz. Premiera prasowa 8 września 1979 r.

Swejk krótkiej, ale wstrząsającej powieści wycoanej po raz pierwszy w 1993 roku nadał Stanisław Grochowiak tytuł „Trismus”. To słowo greckiego pochodzenia ma szereg znaczeń. Między innymi tak określa się tęczę, a także skurcz żwaczy, czyli mięśni unoszących dolną szczękę. U niektórych gatunków psów zjawisko to występuje, gdy zapiąta żeby w ciele ofiary. Nie są wówczas w stanie rozzerzeć zaciśniętych szczęk.

Grochowiak narrację powieści, narzuca mu pozorną obojętność. „Trismus” jest pamiętnikiem gestapowca, musi zatem zawierać motywację jego postępowania.

Można by zadać pytanie, czy polski pisarz powinien w ogóle taką próbę podejmować. Zmusza go ona bowiem do rezygnacji z własnych sądów, które prowadzić mogą tylko do popędzenia. No, tak, ale polska literatura powojenna obfituje w

zbrodniczą ideologią, której niszczyielska siła groźna jest zarówno dla tych, przeciw którym się obraca, jak i dla tych, którzy jej służą. Antyduktus jego charakter powinien być ostrzeżeniem dla ludzi ulegających prądom neofaszystowskim.

Wybór ideowy utworu dla przetworzenia go w widokowo telewizyjne jest więc w pełni uzasadniony. Można natomiast, wbrew opinii wypowiedzianej przez jednego z rozmówców przed spektaklem, mieć wątpliwości, czy powieść Grochowiaka to niemal gotowy scenariusz, który prosi się o inscenizację. Kształt, w jakim Bugajski zrealizował „Trismus” wydaje się dowodzić czegoś wręcz przeciwnego.

Choć trudno odmówić widokowi szeregu zalet — scenograficzny pomysł Marka Sobocińskiego, rola Michała Grudzińskiego jako gestapowca Doder i Marii Rohaszkiej jako jego żony Nelly — to przecież niewątpliwym wydaje się fakt, iż obraz odgrywa tu rolę drugoplanową, wtórną, ilustracyjną. Czynnikiem panującym jest tu słowo, słowo w sposób piękny i mądry ukształtowane przez Grochowiaka. Słuchając je, doznajemy uczucia zaspokojenia, pełni, gęstości, — wśród której wrzące się obrazy retrospektywne płaczą się niemal zębne.

Nie ratuje sytuacji pomysł reżyserski z videomagnetofo-nem, urządzeniem mało jeszcze u nas spopularyzowanym. Czy przez fakt, że postarzały Doder

włącza kasę magnetowidową i ogląda sam siebie na ekranie telewizora, jego wypowiedzi przestają być odczytywaniem wprost wybranych partii powieści? Ten telewizor w telewizorze, jak teatr w teatrze, tworzy tylko pozór udramatyzowania tekstu. Jest on kontynuacją przeżywanego już konwencji narratorskiej, trochę naturalnie komentującego akcję, a raczej zbyt często podstawiawiającego się w jej miejsce.

Nie umiałbym z czystym sumieniem stwierdzić, czy inna konwencja byłaby w stosunku do „Trismus” do zastosowania. Jeżeli nie, to pozostaje przy wątpliwościach, czy powieść Grochowiaka należało ekranizować. Sam autor, który był jednym z najlepszych naszych powojennych dramaturgów, a nawet uciekał się do adaptacji cudzych tekstów na ekran, wiedział chyba, dlaczego dla „Trismus” wybrał formę powieściową i dlatego nie próbował adaptować go na ekran.

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie odmawiam Bugajskiemu dużej sprawności reżyserskiej. Należy on z pewnością do grona młodych reżyserów filmowych, którzy dokonują obecnie przełomu w naszej kinematografii i w telewizji. A przecież realizacja „Trismus” nie przekonała mnie do słuszności swego wyboru.

Władysław Orłowski

# O TELEWIZJĘ NIEPOKOJU MORALNEGO

stwiłowego tygodnia byłaby znakomitą okazją do dyskusji nad aktualnymi artystycznymi i warsztatowymi polskiego kina. I — co nieobojętne — formą potrzebnej przecież reklamy dla rodzimej produkcji. Jest telewizja i kino swoistym dwojakiem o tym samym społeczno-kulturalnym uchwycie. Zatem to co ważne dla kina, powinno być i ważne dla telewizji. Polski film — jak zauważył w swojej wypowiedzi na Forum Stowarzyszenia Filmowców Polskich Andrzej Wajda — zaczyna odgrywać w polskiej kulturze rolę pierwszoplanową. Telewizja nie tylko powinna ten stan rzeczy wciąć odjąć, ale i także wyciągnąć daleko idące wnioski, które mogą zdecydować o jej własnej przyszłości. Nie wystarczy po kilka razy wyświetlić na małym ekranie ten sam film wyprodukowany przez polską kinematografię, zastępując nim luki i niedostatki Polteu.

„Film fabularny wyprzedził film dokumentalny” — powiedział w jednej z relacji Studia Festiwalowego Krzysztof Kieślowski. Tak jest w rzeczywistości. A dzieje się to dlatego, że rolę głównego dystrybutora i sponsora dokumentu przejęła telewizja. I dobrze. Ale telewizja ma swoje rygory programowe i takie konwencje. Jeśli reportaż, to z optymistycznym wydźwiękiem, jeśli próba zapisu dokumentalnego, to z dominującą funkcją prostej informacji, jeśli audycja publicystyczna, to dywagacje na marginesach rzeczywistych problemów. Zdać sobie sprawę, iż taka ocena może wydać się narzbyt generalną i narzbyt popieszną.

Dotyczy ona głównie dokumentalnej rejestracji spraw aktualnych, tych z końca lat siedemdziesiątych, rozgrywających się w kraju, w którym żyjemy i pracujemy. Nie mam bowiem zastrzeżeń do obrazu w jakim rysuje TVP problemy międzynarodowe, także te, które odnoszą się do naszej historii i przeszłości. Na tym też niedostatki telewizyjnego dokumentu polskiej rzeczywistości współczesnej są tym bardziej widoczne. Pomijam seriale Zbigniewa Chmielewskiego. Są wyjątkiem

filmu. Te najlepsze zawsze można było określać za pomocą zacytowanych basel. Być może teraz mamy do czynienia aż z „falą”. Przekonamy się o tym w ciągu najbliższych tygodni na festiwalowych premierach. Tymczasem telewizja wyświetliła ostatnio trzy tytuły (z poprzednich lat), które również odpowiadają formułom narodowym w Gdańsku. Myślę tu o filmie Bohdana Poręby „Prawdzie w oczy”, „Bliźnię”, Krzysztofa Kieślowskiego i obrazie Waldemara Podgórnego „Pójdiesz ponad sadem”. Zwłaszcza „Bliźnię” potwierdza sugestie, której poświęciłem ten felieton. Właśnie kino, jeszcze nie tak dawno lubujące się w szerokoformatowych superprodukcjach, w adaptacjach klasyki, która miała osiągnąć publiczną wyświeślenie na małym ekranie ten sam film wyprodukowany przez polską kinematografię, zastępując nim luki i niedostatki Polteu.

Chodziłoby teraz o to, aby telewizja zdała sobie sprawę — film polski w odczuciu widzów i z jakim rezonansem społecznym się spotyka. I aby po przyszłorocznym festiwalu olsztyńskim można było także mówić o „telewizji niepokoju moralnego”, o „telewizji żarliwej”.

Grzegorz Gazda

# SZCZĘKOŚCISK

U Grochowiaka nazwa ta ma sens metaforyczny, choć nie całkiem klarowny. Pozostawia dość duży margines dla swobodnej interpretacji. Utwór poświęcony jest analizie wpływu, jaki na życie jednostek ma faszyzm. Do faszyzmu zatem można by odnieść metaforę. Ale z pewnością nie tytuł utworu Grochowiaka stanowi punkt wyjścia do głębszego namysłu nad egzystencją ludzką.

Grochowiak dokonał, jak na autora polskiego, dość karkołomnej sztuki ukazania w ludzkim wymiarze dramatu młodego gestapowca, skrajnego fanatyka hitleryzmu. Nam Polakom niezmiernie trudno jest piąć się na temat hitlerowców, zachowując chłodny obiektywizm i nie poddając się zrozumiałym negatywnym emocjom. Sama konwencja, w jakiej utrzymuje

utwory stanowiące oskarżenie hitleryzmu z naszej pozycji, którzy zaznaliśmy z jego strony tak wielu krzywd. Grochowiak podszedł do zagadnienia inaczej, ukazując młodego hitlerowca nie tylko jako oprawcę dokonującego zbrodni w imię ideologii faszystowskiej, ale jednocześnie jako ofiarę tej doktryny, w której służyć się zacięgnął, i która zdruzgotowała jego życie. Tak więc „Trismus”, oszobadając się z narodowych ograniczeń nabiera szerszego, uniwersalnego sensu.

Ryszard Bugajski, absolwent Wydziału Reżyserii Łódzkiej Szkoły Filmowej, sięgnął po ten właśnie tekst Grochowiaka z tych, myślę, przede wszystkim względów. Reżyser należy do młodego pokolenia, dla którego hitlerizm to już historia. Nie jest natomiast historią faszyzm,

zaspokojonych pragnień erotycznych. Bohater, inteligentny, ale już nie młodzieńcaśki profesor spędza urlop nad morzem w pobliżu wili swojego przyjaciela Dora i jego młodej żony Cleli. Małżonkowie otacza grono przyjaciół: kobiet i mężczyzn. Ośrodkiem zainteresowania jest Clelia. Swoją obojętnością i becznością drażni mężczyzn. Wszyscy starają się o jej względy. Pojawia się także młody chłopiec, dawny uczeń profesora. Wszyscy pozornie całkowicie szczerzy i prostolinijni ukrywają jednak tajemnicę i to w zastępną na pozór akcję wprowadza jakby podkórny nerw.

Cesare Pavese: „Plaża”. PIW, W-wa 1978, str. 96, cena zł 20,-

## ANTOLOGIA POEZJI RADZIECKIEJ

Prezentowana „Antologia...” jest pierwszą w języku polskim obszerniejszą antologią poezji radzieckiej. Przy wyborze materiałów do „Antologii...” Józef Waczków korzystał w większej części z gotowego, przetłumaczonego już materiału zawartego w książkach czasopiśmiennych zbiorach. Ale chociaż materiał ten jest dosyć bogaty, to jednak posiada pewne luki. Dotyczą one w większości tłumaczeń utworów języków mniej znanych. Bo choć wydanych jest wiele utworów wierszy dziennikarzy poetów, to większej części są to przekłady z języków słowiańskich. W dziedzinie zaś prezentacji poszczególnych literatur narodowych posiadamy oprócz kilku antologii poezji rosyjskiej, jedynie antologię poezji azerskiej, „Złote kamienie”, litewskiej „Pieśń i gwiazdy”, litewskiej „Zorze nad Dźwiną”, Antologii „Poezji gruzińskiej”, „Antologii poezji ukraińskiej”. Obecna zaś „Antologia...” przedstawia wiersze około dwustu poetów, z czego połowa to poeci dwudziestu kilku narodowości nieśłowiańskiej. „Antologia...” nie jest prezentacją literatur, kierunków artystycznych czy tendencji rozwojowych, lecz antologią wierszy, co znalazło nawet wyraz w tytule.

Polecając tej pozycji czytelnikom, pozwól sobie zacytować autora wyboru Józefa Waczkowa, który w przedmowie pisze: „Wobec całych bibliotek, jakie dalały się zapelniać książkami poetów

radzieckich zebrany tu bukiet liryki i epiki wierszowanej można uznać za przyszłowiową kropkę w morzu. Sądę jednak że jest to kropka krzepiąca i wcale nie chcielibym, żeby ugasiła pragnienie czytelników, lecz żeby je raczej podsyciała”.

Antologia poezji radzieckiej. Wiersze 1979, str. tom I/II 319, cena zł 130,-

## TRZY DNI W SIERPNIU

Często wykorzystywany w powieściach współczesnych autorów zbieg tzw. retrospekcji posiada pełne uzasadnienie w powieści Vytautasa Bubnysa „Trzy dni w sierpniu”. Tem powieści jest oddalona o niespełna sto kilometrów od Wilna malownicza wieś Bukna. Na kanwie wydarzeń dziejących się w ciągu trzech ostatnich dni sierpnia autor prezentuje nam problemy nurtujące naród litewski w okresie powojennym. Nielatwy okres powojenny, wleżał żywy dla bohaterów książki, stale powraca we wspomnieniach. Wspomnienia osobiste splatają się z tymi dotyczącymi społeczności produkcyjnej odbudowy wsi, organizowania życia społecznego i kulturalnego. Ludzie starli pamiętający czasy sprzed wojny i stara wiedź z sentymentem myślą o starym, wiążą z nim swoją młodość. Młodzi dla których najważniejszy jest czas teraźniejszy nie rozumieją czasem tej tęsknoty. Dla nich najważniejsze są przemiany we wsi, wyniki jakie osiągają w budowaniu nowego i kłopoty z tym związane.

Bubnys w sposób niezwykle interesujący i sugestywny ukazuje aktualność surowych, niełatwych w kontaktach ludzi, na pozór skrytych i opowanych, naprawdę zaś wrażliwych odcinnych sentymentu dla starych podań i legend, spragnionych ciepła rodzinnego i uczuć.

Vytautas Bubnys: „Trzy dni w sierpniu”, przekł. Elżbieta Wasson-gowa, Czytelnik, W-wa 1977, str. 317, cena zł 32,-

**Ex LIBRIS**  
ODGŁOSÓW

**PLAŻA**

Cesare Pavese, jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy włoskich urodził się 9.09.1908 roku w miejscowości piemontskiej Santo Stefano Belbo, a zmarł w Turynie — śmiercią samobójczą — 27.08.1958 r. Studiował filologię włoską i angielską. W latach 1931-42 zajmował się tłumaczeniem i popularyzowaniem dzieł pisarzy amerykańskich i angielskich. W 1955 r. pod zarzutem działalności antypaństwowej faszystowskie władze aresztowały go i skierowały do miejsca przynajmniej odosobnienia na południu kraju. Był jednym z organizatorów i długoletnich pracowników wydawnictwa Einaudi. Debiutował w 1936 roku zbiorkiem poetyckim „Praca mężczyzny”, a w 1945 r. powstał cykl wierszy „Ziemia i śmierć”, a w 1950 r. cykl wierszy „Przyjdzie śmierć i będzie nalała twoje oczy”. Przede wszystkim jednak znany jest jako autor utworów prozą, opowiadań, nowel, krótkich powieści, dialogów osnutych na motywach mitologicznych, szkiców o literaturze amerykańskiej oraz o micie dziennikarstwa.

„Plaża” ukończył na początku 1941 roku. Jest to krótka powieść. Jej akcja rozgrywa się w nieco wysublimowanej, a jednocześnie kuszącej atmosferze plaży, upalnego lata, dziwnych i nie-

W dziejach historiografii polskiej Bolesław Limanowski zajął miejsce szczególne. Wybitny działacz socjalistyczny, uczonego ogromnym dorobku naukowym, pracujący w tym trudniejszych warunkach, że wyznawane i głoszone przezeń poglądy uniemożliwiały mu znalezienie oparcia dla swej pracy w którejkolwiek z polskich naukowych instytucji czy to w kraju, czy na wychodźstwie, w których niechętnym okiem spoglądano na socjalistów, borykający się ustawicznie z życiowymi trudnościami, stał się w dziejach polskiej nauki historycznej twórcą nowoczesnego kierunku badawczego, mianowicie historii ruchów społecznych. Jego prace z tej dziedziny — jak podkreślał to Marceli Handelsman — stanowią „jak gdyby poszukiwanie w historii dla samego siebie uzasadnienia programu, na dziś i na jutro”. B. Limanowski był bowiem jak najgłębiej przekonany, że właśnie na drodze poszukiwań historycznych można właściwie zrozumieć teraźniejszość i wyrobić sobie pogląd na kierunek przyszłego rozwoju ludzkości. Nie darmo swe wielkie dzieło o historii polskiej demokracji rozpoczął słowami: „Dla zrozumienia ruchu demokratycznego w każdym narodzie nie wystarczy ogólna teoretyczna znajomość, czym jest, czyli raczej, czym być powinna demokracja, ale i konieczną jest rzeczą stanąć na gruncie historycznym i zbadać, pod wpływem jakich warunków ten ruch demokratyczny powstał i kształtował się”. Śledząc dzieje europejskiej i polskiej demokracji w czasach nowożytnych, uczonego ukazywał perspektywę rozwojową, którą wiązał z socjalizmem, rozumianym jako ustrój wyzwolenia społecznego i narodowego, będący koniecznym wynikiem dziejowego rozwoju.

W pracach swych, poświęconych dziejom nowoczesnych ruchów społecznych w Europie — jak w dziełku „Dwa znakomici komuniści: Morus i Campanella i ich systemy” (Lwów 1876), w „Historii ruchu społecznego w drugiej połowie XVIII stulecia” (Lwów 1888), „Historii ruchu społecznego w XIX stuleciu” (Lwów 1890) i w innych — B. Limanowski stał się prekursorem w tej dziedzinie badań nie tylko w skali nauki polskiej, ale i europejskiej. Polski socjalista — by raz jeszcze powołać się na kompetentny sąd M. Handelsmana — „w sposób obiektywnie niezbędnym dochodził do wyników, które gdzie indziej, później i bez jego udziału zdobyła nauka francuska”, osiągnął rezultaty, „które zachowały swoją wartość trwałą po dzień dzisiejszy”. Pionierski charakter miały badania B. Limanowskiego nad ruchami społecznymi w Polsce, a w szczególności nad dziejami polskich dążeń lewicowych i demokratycznych, prace które stworzyły podstawę dla poszukiwań, które stanęły w centrum uwagi w historiografii polskiej dopiero w naszych czasach.

O tym, w jakich warunkach pracował uczonego — socjalista podczas swego długoletniego pobytu na emigracji we Francji, o walce, jaką wbrew mnożącym się przeciwnościom musiał B. Limanowski toczyć, aby zapewnić swej rodzinie choćby najskromniejsze warunki egzystencji, możemy dziś dowiedzieć się na podstawie nie wyczerpanych dotychczas przez badaczy źródeł.

W początku grudnia 1889 r. B. Limanowski przeniósł się razem z synami z Zurychu do Paryża. Przybycie polskiego socjalisty do stolicy Francji było uprzednio przygotowawcze. Jeszcze 20 października Kazimierz Dłuski powiadomił B. Limanowskiego,

że Stanisław Kraków zamierza powierzyć mu prowadzenie ksiąg w swym przedsiębiorstwie, mianowicie w „Maison S. Kraków — Photographure — Phototypographie — Impressions Chromotypographiques”, mieszczącym się pod numerem 102 przy Faubourg Poissoniere. B. Limanowski przyjął tę propozycję — jak pisał później — „z wdzięcznością”, ale ze względu na rodzinę nie mógł z niej natychmiast skorzystać. Po przybyciu do stolicy Francji B. Limanowski skorzystał z życzliwości doktorostwa Henrykostwa Gierszyńskich z Ouarville: pozostawił u nich obu swych chłopców na czas, zaimem nie urządził się w Paryżu. Zamieszkał „w małym i tanim hoteliku przy ulicy Mazarin”, pod numerem 50, zgłosił się do S. Krakowa, który z miejsca wypłacił mu miesięczne uposażenie, zwalniając go na razie z podjęcia pracy z

nowskiego, wieloletniego dyrektora Szkoły Batignolskiej, były zgodne z prawdą. Ten niezmiernie oddany szkole człowiek, który w jej gmachu spędził szesnaście ostatnich lat swego życia, umrze w początku lipca. Piątego tego miesiąca odbędzie się jego pogrzeb. Dyrekcję szkoły obejmie po nim z nominacji Rady Szkolnej Artur Stepinski, a funkcję inspektora Wacław Gasztowt: „miejsce Malinowskiego podzielił między sobą dwaj fachowcy, jego dawni uczniowie i współpracownicy”. B. Limanowski nie miał właściwie żadnych szans na uzyskanie posady w szkole, gdzie niechętnym okiem spoglądano na ludzi, związanych ze środowiskami socjalistycznej lewicy.

Nie mógł narzekać na brak zatrudnień. Przyłożył się do uroczystości przewiezienia zwłok Adama Mickiewicza do Krakowa, wziął bowiem

ziano do miasta Krakowa, ale parę — nie umiano dokładnie powiedzieć jakie — skonfiskowała tamieczna policja. Skonfiskowała ona także piękny wieniec z napisem: „Od Braci Moskali”. Wrażenie uroczystości mickiewiczowskiej było wielkie, szczególnie jeszcze z tego względu, że ogromna liczba włościan przybyła w prawdziwie uroczystym nastroju brała udział w całym obchodzie.”

Ugodowy petersburski „Kraj” wyrażał swoje niezadowolenie z powodu, że podczas uroczystości w Montmorency silnie zaznaczyli swoją obecność polscy socjaliści.

Niestrudzona M. Gierszyńska snuła wciąż nowe projekty, aby uczonego — socjalistę zapewnić pracę, która

w sprawie naznaczenia mnie bibliotekarzem w Rapperswilu. Jakkolwiek nie stało się zadość jej życzeniom, to w każdym razie wdzięczność moja przez to nie zmniejsza się.”

Tymczasem warunki materialne B. Limanowskiego gwałtownie się pogorszyły. S. Kraków, z którym łączyła go przyjaźń, zmarł niespodziewanie 9 kwietnia 1892 r., a po jego zgonie okazało się — jak czytamy w pamiętnikach uczonego — socjalisty:

„Ze zakładów grozi rychłe bankructwo i że jedynie ratował się jeszcze kredytem. Utrzymać więc zakładu niepodobna było i nastąpiła jego likwidacja. Urwała się przeto największa pozycja dochodowa w moim budżecie. I poprzednio ciężko było wiązać koniec z końcem, teraz groził mi głód.”

Przez jakiś czas B. Limanowski zajmował się likwidacją interesów swego zmarłego pracodawcy. Dnia 13 listopada 1892 r. donosił H. Gierszyńskiemu, że „zakład Krakowa został sprzedany i drukarnię trzeba zabrać. Zdaje się, że ją można będzie umieścić w Paryżu, otrzymam jutro w tym przedmiocie odpowiedź.”

W tych warunkach B. Limanowski raz jeszcze wrócił myślą do Rapperswilu i listem z 27 kwietnia zwrócił się bezpośrednio do H. Bukowskiego z zapytaniem, czy może liczyć na obiecana mu przezeń podczas spotkania u doktorostwa Gierszyńskich przed dwoma laty posadę bibliotekarską w Muzeum. Przedstawił mu swoje trudne położenie oraz zamiary na przyszłość, wspominał o chęci osiedlenia się w Rumuni. Podkreślał, że uzyskanie pracy w Rapperswilu byłoby mu nie tylko dostarczyć środków do życia i utrzymania rodziny, ale umożliwiłyby kontynuację rozpoczętych przed pięcioma laty prac nad dwoma przygotowywanymi dziełami historycznymi, mianowicie „Historią demokracji polskiej” oraz „Historią porobiorową (od 1794 do 1863 r.)”. Snuł wreszcie przed H. Bukowskim projekty swej ewentualnej działalności wówczas, gdyby udało mu się osiągnąć w Rapperswilu. Relacjonował mianowicie swemu korespondentowi, że przed przybyciem do Francji, po zlikwidowaniu interesów w Thun, jeden z jego dobrych znajomych namawiał go do starania się o docenturę historii Polski na politechnice w Zurychu, wspominał, że rozmawiał już nawet w tej sprawie z jej rektorem Kappelerem. Kiedy projekt ten doszedł do skutku, wówczas studiująca w Zurychu polska młodzież zorganizowała mu płatne wykłady z historii porobiorowej, które spotykały się z powszechnym uznaniem. Uczony — socjalista spodziewał się więc, że skoro osiadłby w Rapperswilu, mógłby wygłaszać tego rodzaju wykłady bezpłatnie, co niedzielnie, w lokalu zurychskiej Czytelnicy Polskiej, co mogłoby zostać zaliczone do jego obowiązków jako pracownika muzealnego.

Starania B. Limanowskiego o posadę bibliotekarską w Rapperswilu nie zostały uwieńczone powodzeniem. Niewiele wcześniej niż miesiąc, w marcu 1892 r. objął ją Zygmunt Wasilewski, który szybko zabrał się do porządkowania zbiorów muzealnych oraz katalogowania biblioteki. Jego pomocnikiem zostanie niebawem Stefan Zeromski, który przy poparciu H. Bukowskiego, Jana Karłowicza oraz Bolesława Prusa, a także dzięki zabiegom swej energicznej nowo poślubionej żony Oktawii, uzyskał stanowisko młodszego bibliotekarza z niezmiernie niskim uposażeniem 50 fr miesięcznie. Jak pisał monografista pisarza, „pobyt w Rapperswilu był dla Zeromskiego niejako uniwersyteciem, w którym rozwinął on i pogłębił horyzont bogatego swego umysłu i skrytykował swój światopogląd ideowy.”

Wdowa po zmarłym przyjacielu — pracodawcy, pragnąc przyjąć B. Limanowskiego z pomocą w jego nadzwyczaj trudnym położeniu, postarała się dlań o list polecający do Józefa Gałęzowskiego do Edmunda Cholewickiego, publicysty i pisarza, ogłaszającego swe prace pod pseudonimem Charles Edmond, który „należał do komitetu kierowniczego dziennika francuskiego „Temps”, ażeby postarał się (...) o jakieś w nim zajęcie”. Nic jednak z tego nie wyszło. Podobnie zakończyły się niepowodzeniem zabiegi, przy pomocy Sylwestra Staroniewicza, o uzyskanie dla Limanowskiego posady w wielkiej francuskiej firmie księgarskiej Louis Hachette’a, „Revue Socialiste”. Nie powiodły się też zabiegi, mające na celu otrzymanie posady w amerykańskim przedsiębiorstwie elektrycznym, którego przedstawicielem w Paryżu był Bruno Abakanowicz. Nie doszły wreszcie do skutku snute wspólnie z Kazimierzem Sosnowskim projekty, by B. Limanowski został redaktorem w mającym powstać piśmie, „dotyczącym techniki świetlno-elektrycznej pt. „La Lumiere”.

umożliwiłaby mu kontynuowanie działalności pisarskiej. Podsunęła ona projekt uzyskania dlań posady bibliotekarza w Muzeum Narodowym Polskim w Rapperswilu. Niechybny projekt ten został uzgodniony z Henrykiem Gierszyńskim, członkiem Rady Muzealnej, poparł go także brat Marii, znany sztokholmski antykwariusz, wiceprezes Rady Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu Henryk Bukowski. Z listu B. Limanowskiego do pani Gierszyńskiej z 31 lipca 1890 roku możemy się dowiedzieć, jak radośnie odniósł się on do tego projektu. Nie ukrywał, że posiada bibliotekarza w Rapperswilu, w instytucji o charakterze społecznym, odpowiadałaby mu najbardziej, bardziej niż jakakolwiek inna. Mimo, że jeden z towarzyszy — socjalistów przedkładał mu, że jego pobyt we Francji, w Paryżu „może być potrzebny i pożyteczny ze względów politycznych”, B. Limanowski z góry decydował się na zamieszkanie w Szwajcarii. Co więcej, wprowadził — jak podkreślał — wolałby, aby mu nie stawiano żadnych warunków „w sprawie przekonań” — jednakże gdy H. Bukowski uprzedził go, iż zarząd Muzeum wymagałby odeń, by zrezygnował z publicznego występowania „jako socjalista” oraz publikowania „agitacyjnych w tym duchu broszur”, nie odrzucił również i tego przykrego warunku. Podkreślał, że ma zamiar poświęcić się przede wszystkim pracy naukowej, zaś gdyby uważał za konieczne włączyć się publicznie do działalności politycznej, wówczas sam złożyłby swoją funkcję w Muzeum. Wolałby — pisał do M. Gierszyńskiej — aby mu tego rodzaju warunków nie stawiano, skoro jednak byłoby mu one zaproponowane, wyraziłby zgodę, chociaż z ciężkim sercem, w przeświadczeniu, że czyni to dla chleba, który winien jest zapewnić swojej rodzinie. Przyjaciele już wówczas dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że socjalistyczne przekonania B. Limanowskiego będą poważną przeszkodą przy staraniach o posadę w Rapperswilu, skoro w Zarządzie Muzeum wdzili reż ludzie o przekonaniach zachowawczych, spośród nich zaś niektórzy w niedalekiej przyszłości poczną sympatyzować z tworzącym się ruchem narodo-demokratycznym.

Nic więc dziwnego, że starania te nie przyniosły żadnego rezultatu. B. Limanowski pisał 19 sierpnia 1891 r. z Paryża do M. Gierszyńskiej:

„Dziękuję serdecznie za poparcie, jakie Kochana Pani okazywała mnie

ANDRZEJ F. GRABSKI

# TROSKI I NADZIEJE UCZONEGO SOCJALISTY

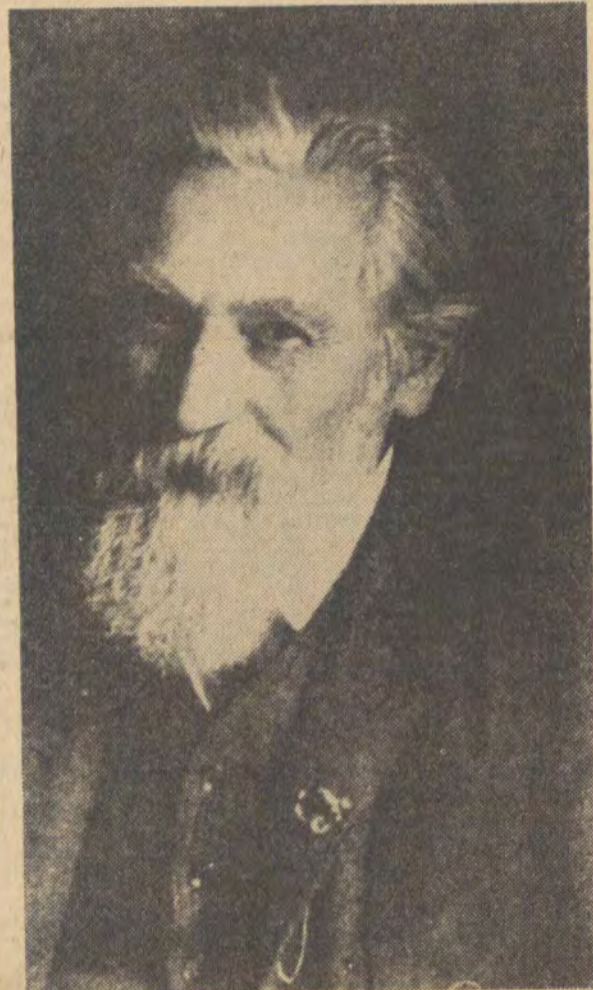


Foto: Archiwum

powodu nieuporządkowania odpowiednich papierów.

Dzięki pomocy Władysława Mickiewicza zdołał Limanowski uzyskać prawo korzystania z Biblioteki Narodowej, gdzie począł bywać codziennie, w związku z pracą nad artykułem o unarodowieniu ziemi, zamówionym u niego dla „Pobudki” jeszcze podczas pobytu w Zurychu. Z początkiem następnego roku przeniósł się do wynajętego mieszkania pod adresem 41 rue de Seine. Szybko włączył się w wir politycznego życia miejscowej polskiej emigracji socjalistycznej. Już w kwietniu 1890 r. B. Limanowski będzie mieszkał pod kolejnym adresem, na drugim piętrze, pod numerem 89 Boulevard de Port Royal.

Było zupełnie zrozumiałe, że B. Limanowski swe zajęcie u S. Krakowa, będące właściwie formą zapomogi dla działacza socjalistycznego i uczonego, udzielanej przez człowieka, związanego z ruchem, traktował jako sprawę przejściową. Myślał o innym zatrudnieniu, takim które umożliwiłoby mu kontynuowanie pracy naukowej. Żona Henryka Gierszyńskiego, Maria — pisał po latach w pamiętnikach — „przez swoje wybrano na jednego z dyrektorów Szkoły Batignolskiej. Wiedziałem, że nie z tego nie będzie, jakoż istotnie tak się stało.”

Ze współczesnej korespondencji uczonego — socjalisty zdaje się wszakże wynikać, że żywił on w tym względzie pewne nadzieje. Dnia 6 maja 1890 r. pisał z Paryża do M. Gierszyńskiej:

„Szczerze jestem wdzięczny za życzenia Jej dla mnie usposobienie, ale uważam to za rzecz nieprawdopodobną, żebym mógł zostać dyrektorem Szkoły Batignolskiej, byłbym już zadowolony, gdybym mógł w niej zostać nauczycielem. Lecz na uzyskanie tej posady nawet, trzeba by mieć poparcie między czartoryszczykami i u Gałęzowskich, a o to i nie warto, i niełatwo się starać. Malinowski podobno zawsze znajduje się w takim stanie, że można lada chwilę spodziewać się jego śmierci. Lecz ponieważ stan taki jest skutkiem głębokiej starości, więc nie kładzie się do łóżka i wciąż pilnuje swych obowiązków i po chwili strasznego osłabienia znów wraca do pewnej krzepkości.”

B. Limanowski zaznaczał przy tym, że bardzo zależy mu na umieszczeniu w szkole swego syna. Spostrzeżenia o stanie zdrowia Stanisława Mali-

udział w obchodzie w Montmorency, gdzie przemawiał w imieniu Związku Narodowego Polskiego we Francji. Z przygotowaniem do tej uroczystości wiąże się jego propozycja, złożona w liście pisanym z Paryża 21 czerwca 1890 r. do M. Gierszyńskiej:

„Złożenie uroczyste zwłok Mickiewicza na Wawelu zostało odłożone podobno do dnia 4 lipca. Właśnie w tym czasie ma być w Krakowie panna (Melania) Lipińska. Czy nie wypadłoby skorzystać z tej sposobności i uposażać pannę Lipińską do reprezentowania paryskich Polek, od imienia których przybędzie wieniec do Krakowa? Moim zdaniem byłoby to bardzo dobrze. Panna Lipińska asystowałaby w takim razie delegatowi Zjednoczenia Młodzieży i nie potrzebowałaby sama przemawiać. Gdyby jednak Komitet uznał to ostatnie za pożądaną, to mógłby ułożyć krótkie przemówienie, które by polecił w Krakowie przy sposobności wygłosić. W „Spójni” panna przezwikowo pannie Lipińskiej pewne uprzedzenie, zdaniem moim zupełnie niesłuszne i blahymi rzeczami spowodowane. Uprzedzenie to jednak nie jest tak silne, ażeby poważnie szanowany głos Drogiej Pani nie był w stanie je przezwyciężyć i mniemam, że skoro Szanowna Pani zrobi listowną propozycję Komitetowi Kobiet nadania pannie Lipińskiej charakteru delegatki, Komitet propozycję tę przyjmie. Przy czynnej pomocy Armanda Levy przyszykaliśmy dla wszystkich naszych komunikacji w sprawie obchodu mickiewiczowskiego dziennik „Rappel”, współdziałal w meetingu Anatole de la Forge i Vacquerie i w ogóle znajdujemy więcej sympatii, aniżeli tego można się było spodziewać.”

W listach swych Limanowski nie opisywał ani własnego wystąpienia, ani innych wypowiedzi, wygłoszonych nad trumną poety (które niebawem ogłoszono drukiem). Podkreślał znaczenie uroczystości jako manifestacji, w której bardzo aktywny udział wzięli przedstawiciele postępowych sił społecznych. W liście do H. Gierszyńskiego pisał zaś 8 sierpnia 1890 r. z Paryża:

„W „Kraju” petersburskim był niezmierny artykuł Waliszewskiego o uroczystości w Montmorency, napisany z widoczną złą wolą. Młodzież mocno oburzona odgrażała się. W przejeździe do kapli morskiej był tu Asnyk i widziałem się z nim i Mickiewiczem u Kraków. Wieniec nasze przewie-

Bibliografia — matka nauk. Nie wiem kto pierwszy użył tego określenia, ale jest ono efektowne, jak to, że „piechota jest królową broni”, a „artyleria jest bogiem wojny”. Bibliografia bada różnego typu przekazy tekstów językowych, a ich opisy układa w pewne całości, podporządkowane określonym zasadom kompozycyjnym. Jest to nauka, która graniczy ze sztuką. Celem bibliografii jest dostarczenie informacji o przekazach piśmienniczych w przeszłości i teraźniejszości, przez podanie dokładnych wiadomości o ich tytule, autorze, miejscu i czasie wydania, itp.

Jak by tego wszystkiego było za mało — bibliografia dzieli się na kilka typów. Może więc być bibliografia ogólna, selekcyjna, osobowa, podmiotowa, rzeczowa, adnotowana... Tyle informacji ogólnych, po których możemy zająć się jeszcze jednym rodzajem bibliografii — mianowicie bibliografią łódzką.

Parę lat temu ukazał się opanasły tom „Łódzkiej Bibliografii Regionalnej” za lata 1945-1970 — opracowany przez Wandę i Wacława Frontczaków. Wydawcą był PWN, ale dzieło powstało w pracowni bibliograficznej Biblioteki Uniwersyteckiej.

Księga państwa Frontczaków zawiera piśmiennictwo naukowe, fachowe, popularno-naukowe — środowiska naturalnego, kulturalnego, historii, warunków życia gospodarczego, spo-

rozpoczętego przez Wandę i Wacława Frontczaków. W skład tego zespołu wchodzi — Roman Kaczmarek, Andrzej Gawroński, Zofia Napierała, Danuta Bieńkowska, Kry-

## BIBLIOGRAFIA — MATKA NAUK

tecznego... Jest to pierwsze wielokierunkowe zestawienie piśmiennictwa poświęconego ziemi łódzkiej za okres 25 lat. Całość materiału zawiera około 10 tysięcy opisów bibliograficznych — czyli mówiąc prościej — odnotowano tu 10 tysięcy różnego rodzaju publikacji o tematyce łódzkiej na przestrzeni ćwierćwiecza.

Kolosalna praca i ogromnie wartościowa. Kto tego dzieła nie kupił w odpowiednim czasie — niech żałuje, bo już nie kupi, jako że nakład tej publikacji wynosił... 500 egzemplarzy.

Ale nie wszystko stracone. Otóż w innej bibliotece Łodzi — mianowicie w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Ludwika Waryńskiego — pracuje inny zespół bibliograficzny, który podjął się kontynuacji dzieła

styna Mierzwińska i Małgorzata Baszińska. Ukazały się już dwa tomy — za lata 1971 i 1972. Rozpoczęto w ten sposób wydawanie bieżącej bibliografii dotyczącej Łodzi i regionu. Dokumentuje ona w sposób możliwie wszechstronny szeroko pojęte życie regionu. Uwzględnia zawartość prasy regionalnej — także terenowe mutacje dzienników.

Obecnie przygotowany jest do druku tom obejmujący lata 1973-1974. Co prawda pierwotne założenia mówiły o wydawaniu roczników bibliograficznych — owa planowana „fuzja” dwu lat w jeden tom, świadczy zapewne o trudnościach papierowo-poligraficznych. Myślę jednak, że właśnie na bibliografię nie powinniśmy zaliczać papieru. Pewno, że komuś niezorientowanemu może

wydać się dziwna taka książka, która zawiera tylko sam „spis rzeczy”.

Trochę jak w tym dowcipie o wariacie czytającym książkę telefoniczną — „bardzo dużo bohaterów — a żadnej akcji”. W bibliografii też tak pozornie wygląda — „żadnej treści, sam spis rzeczy”. Ale tylko wariat nie doceni ogromnej wartości dokumentalnej bibliografii.

Bibliografia jest dziełem na dziesiątki lat. Walory dokumentacyjne takiego katalogu, nabierają mocy i wartości — jak stare wino. Im więcej lat upływa od wydania bibliografii — tym bardziej zwiększa się jej wartość. Bo przecież umierają gazety, książki i autorzy — a ta, pozornie sucha i lakoniczna — notacja zaczyna nabierać wyrazu, układać się w pewien system — a czasem pozostaje jedynym śladem minionych fascynacji, polemik, problemów i ludzi.

Szanujmy zatem bibliografię. Nasze książki i artykuły być może pochłonie bezlistosny mrok zapomnienia. Ale jedno jest pewne — bibliografia jako po nas zostanie — w sposób najbardziej obiektywny zaświadczy o problemach naszych czasów.

WIDOK

## MICHAŁ KUNA



Kunaj jak nazwać go ktoś mógł, wiadomo, że on biały kruk.

Rys. Stanisław Ibis Gratkowski  
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

## NIE SAMĄ AMBICJĄ

Redaktor Bogdan Tuszyński z Polskiego Radia może być zadowolony. Oczekiwał od dawna, kiedy zostanie pobity rekord bramek z pierwszej kolejki ligowych rozgrywek, podczas której padły 22 bramki. I oto w dziewiątej kolejce stało się. Bramkarze pierwszoligowych drużyn 33 razy wyjmowali piłkę z bramki, ale sędzię, że mimo to redaktor Bogdan Tuszyński nie jest zadowolony. Bo czyż można być zadowolonym z tego, co działo się w ubiegłą sobotę i niedzielę na ligowych boiskach?

Nie można. I to nie tylko dlatego, że ŁKS znów „zdobył rekord” wysokiej przegranej, dając sobie strzelić aż sześć goli w Poznaniu. Również nie tylko dlatego, że Widzew pozwolił sobie strzelić dwa gole na własnym boisku przy ul. Armii Czerwonej. Ale również dlatego, że słabo grał inni.

Chorzowski Ruch na przykład uległ zabrzańskiemu Górnikowi. A przecież Ruch ma nas już w śróde reprezentować w berlińskim spotkaniu z tamtejszym Dynamo. Bardzo słabo zagrała mielecka Stal, która też ma nas reprezentować, grając w Pucharze UEFA z Aarhus GF. Można się tylko cieszyć, że pogromcą mieleckiej Stali była gdyńska Arka, która w Pucharze Zdobywców Pucharów gra z Beroe ze Starej Zagory. Tylko, że mała to pociecha, bo mielecka Stal — jak donoszą obserwatorzy — prawie nie istniała na boisku. Cóż zatem można sądzić o poziomie gry Arki na tak wątpliwą podstawie?

No i wreszcie RTS Widzew. Co dzieje się z tym zespołem? Do tej pory przedmiotem powszechnych żmartwień kibiców była jedenastka ŁKS. Co prawda ostatnio nie było powodów martwić się o to, czy spadną do drugiej ligi, bo piłkarze ŁKS jakoś na trwałe umiejscowili się wśród średniaków, ale jest to przecież nie najlepsza pozycja, bo bliżej ze środka do końca tabeli niż do jej czoła. Widzew starał się utrzymywać w górnych rejonach tabeli ligowej, zdobywając tytuły wicemistrza Polski. I jako aktualny wicemistrz będzie bronił honoru polskiej piłki nożnej w Pucharze Europy razem z chorzowskim Ruchem. Widzew wylosował bardzo silnego przeciwnika — drużynę St. Etienne, znakomicie obecnie spisującą się we francuskiej lidze. Czego o roli Widzewa w polskiej lidze powiedzieć nie można. Niestety. Co się stało z tą ambitną i dobrze grającą drużyną? Zresztą nie tylko z tą jedną?

Wygranie meczu wyjazdowego premiowane jest w rozgrywkach pucharowych wyżej. Tak się bowiem uatarło, że znacznie trudniej jest wygrać na cudzym boisku. Własne boisko i własna publiczność gwarantują jakby wygraną. Ale nie w naszej lidze. Oto na 8 meczów rozegranych w pierwszej lidze tylko dwa wygrali gospodarze: poznański Lech i katowicki GKS. Bytomska Polonia goszcząca krakowską Wisłę zremisowała. Pozostali gospodarze ponieśli porażki. Niestety wyjazdowe mecze w naszej lidze nie są specjalnie wyróżniane. Pozostaje więc tylko wstyd przed własnymi kibicami.

W środę, 19 września 1979 roku, nasze „drużyny eksportowe” pokazą, co umieją. Skóra cierpnie na myśl, jaki to może być pogrom. Pociesza tylko świadomość, że czasem zdarzają się cuda w rozgrywkach pucharowych i że nasi piłkarze potrafią w sytuacji beznadziejnej zmobilizować się i grać jak z nut. Ież jednak można grać tylko samą ambicją?

Widzieliśmy niedawno taki mecz, gdzie nasi zegrali niebywale ambitnie. To był mecz naszej olimpijskiej reprezentacji. Cóż z tego, że nasi „olimpijczy” grali ambitnie, cóż z tego, że po wybruku Janusza Kupcewicza nasi „olimpijczy” grali w dziesiątkę? Cóż z tego, skoro przegraliśmy?

W piłce nożnej tak się już dzieje, że lepiej jest wygrać w złym stylu niż przegrać w dobrym. Liczy się bowiem tylko wynik. Tak było w Lozannie. Nasi reprezentanci grali nie najlepiej. Szwajcarzy nieustannie atakowali, a przecież w końcu rezultat był korzystny dla nas. Tylko, że z tego nic jeszcze nie wynika. Zwycięzca naszej grupy eliminacyjnej wyłonił się z beznadziejnych spotkań pretendentów: Polski, Holandii i NRD. A nie będą to łatwe mecze.

Tak się składa, że kiedy ten felieton ukaże się w druku Czytelnicy będą już znali wyniki spotkań pucharowych. Ale jeśli nawet któreś z naszych drużyn uda się pokonać przeciwnika, to i tak to nie rozwiąże problemów polskiej piłki nożnej. O czym zresztą wszyscy wiedzą od dawna.

BOGDA MADEJ

## PROPOZYCJE

W piśmie „Problemy Alkoholizmu” — jest takie piśm., wychodzi już w Warszawie 26 rok — znalazłem informacje następujące treści:

„W Szkole Podstawowej nr 12 w Walbrzychu, w obecności dyrektora szkoły, rady pedagogicznej i przedstawicieli Oddziału Miejskiego SKP odbywało się uroczyste dobowolne przyrzeczenie uczniów klas VII — VIII dotyczące trzeźwości...”

Nie znam treści tego przyrzeczenia, nie wiem, do czego zobowiązuje się taki młodzieniec. Ale niezależnie od tego, jaka jest jego treść, jak daleko sięgają zobowiązania ucznia klasy VII czy VIII szkoły podstawowej, mogę z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że nie będzie ono długo dotrzymywane. Niestety.

Mam dużo szacunku dla działaczy walczących z alkoholizmem, ale też nie prorożką im wielkich osiągnięć. Zresztą, jak wiadomo, walczą oni z alkoholizmem długie lata i raczej nie z najlepszym skutkiem. Problemy alkoholizmu istnieją nadal w naszym życiu. Mimo, że posiadamy bodajże najlepszą w Europie ustawę antyalkoholową. Jest to wszakże jeszcze jedna z dobrych ustaw, która nie jest zbyt dokładnie przestrzegana i stosowana w życiu.

Niektórzy starają się wprowadzić kulturę piła. Niedawno nakładem Wydawnictwa Naukowo-Technicznego ukazała się książka mgr inż. Jana Cieślaka pod tytułem: „Od abbocato do żubrówki — wszystko o napojach”. We wstępie do swej książki Jan Cieślak pisze:

„W ostatnich latach na rynku krajowym obserwuje się coraz większą podaż dobrych, importowanych win gronowych oraz coraz większe ich spożycie, co jest wyrazem wzrastającej kultury spożycia naszego społeczeństwa”.

Wszystko jest dla ludzi — głosi stara prawda, a skoro jest tak, to trzeba się umiemy tym wszystkim posługiwać. Zalecany jest umiar. Wszystko, co używa się w nadmiarze szkodzi, nawet gdyby było w umiarkowanych ilościach pożyteczne dla zdrowia. A cóż dopiero mówić o alkoholu. Wszakże nikt rozsądny dziś prohibicji nie będzie

wprowadzał. Abstynencja jest może i polecana, zalecana i wskazana, ale trzeba być realistą i raczej użyć umiaru. Z takim zamysłem została też napisana i wydana książka mgr inż. Jana Cieślaka. A wydano ją niebawem starannie, w bardzo ładnej szacie graficznej. Książka jest już poszukiwana przez bibliofilów. Tylko, że

## TEGO WE DWA KIJE

na ogół bibliofilie — z racji swego poziomu kultury — wiedzą, jak się pije alkohole.

Książkę można obsłaniać i pewnie niektórzy felietoniści to zrobią. Oczywiście książkę tej można zarzucić to i owo. Choćby dla przykładu, że informuje o niektórych gatunkach i rodzajach win, jakich nie ma już w sprzedaży. Trudno jednak winić autora książki o napojach za taką czy inną pracę handlu. Kiedyż to samo wydawnictwo wypuściło na rynek książkę o serach, miłośnicy autorowi za złe, że pisze o takich gatunkach serów, jakich nasze sklepy w ogóle nie widziały. Jednak z faktu, że z tego u nas nie ma w sklepach wcale nie wynika, że nie powinniśmy o tym wiedzieć. Byłoby dobrze, gdyby przeciętny Polak wiedział, że oprócz zeszłego sera „gouda”, jaki leży w gablocie najbliższego sklepu spożywczego są jeszcze inne gatunki serów. Pretensje

należałoby raczej mieć do autora hasła reklamowego, głoszącego: „Gość w dom, ser na stole”. Wstyd bowiem niekiedy podawać gościom ser, jaki kupiło się w sklepie. Ale to inna sprawa.

Ludzi marzących o kulturze picia wysłałbym w Polskę, aby zobaczyli, jak to wygląda na szczeblu wsi. Przed wiejskimi sklepami „GS” gromadzą się głównie amatorzy chmielu i sikaczy. Zresztą nie brakuje ich w miastach. Piwo i to głównie polejszych gatunków oraz wina owocowe rodzimej produkcji stały się niemal napojami narodowymi. A pije się ich znacznie więcej, aby mieć taki sam „szumek”, jakby wypilo się ćwiartkę wódki.

W jednym z polskich miast widziałem w parku trzech starszych panów, którzy mieli pół litra i szklankę i wydali sobie koleżeńską bibkę zapachem świeżego powietrza, a usta ocierając rękawem. I cóż tu mówić o kulturze picia. A przecież kultury tej trzeba uczyć, bo inaczej grozi nam poważny upadek obyczajów.

Wiele kuchni na świecie wymaga picia alkoholu przy posiłkach, choć się można i bez tego obyć. Ale to już inna sprawa. W trzech krajach na ogół można kupić alkohol w butelkach o różnych pojemnościach. U nas najpowszechniejsza jest pół litra. Sądzę, że warto byłoby zmienić ten zwyczaj i o bok 0,5 i 0,33 litra wprowadzić też butelki o mniejszych pojemnościach. Niech ktoś, kto ma ochotę napić się 50 gram, nie musi kupować od razu całej pół litra. No i niech alkohol nie będzie napojem towarzyszącym czwórkowej od urodzin do śmierci poprzez wszelkie życiowe awanse i pełyptę. A jeśli już tak, to w umiarkowanych ilościach. Kto nie wypije, tego nie od razu trzeba brać we dwa kije — jak głosi stara, ale ciągle aktualna piosenka. I mając ją w pamięci i jej aktualność z dużym sceptycyzmem odnosząc się do wszelkich przyrzeczeń, gdyż wydają mi się one konewką, z którą ktoś śpieszy gasić pożar.

MARCIN RODAK

## LEWYM OKIEM

Każdy z szanownych czytelników bywał na pewno przygodnym a niepożądanym świadkiem czyjeś rozmowy telefonicznej, a może nawet bezpośredniej, kiedy to rozmówcy odzywają się do siebie mniej więcej tak:

— Przyniosłem ci wiesz co...

— To może o tej samej porze tam gdzie zawsze, wiesz...

— Ja bym chciała wiesz co...

— Albo tamto drugie, rozumiesz...

— Mógłbym powiedzieć, ale wiesz...

Takie mówienie — nie mówienie. Taki jakby odbłask, dalekie echo jakiejś rozmowy prawdziwej, jakiejś prawdziwej wymiany informacji, która dokonała się czy też dokonuje się stale gdzieś indziej. To „gdzie indziej” — to azył zastrzeżony dla wtajemniczonych, co zresztą w odniesieniu do spraw osobistych nie budzi zastrzeżeń, ale...

— Ale ten sam zwyczaj obserwujemy nagminnie w odniesieniu do spraw publicznych. O wiele za często — przynajmniej jak na mój gust — spotykamy w publicystyce prasowej, w dyskusjach telewizyjnych i radiowych takie zwroty jak: „z zrozumiemych względów”, „z wiadomych przyczyn”, „w związku ze sprawami, których chyba nie potrzebujemy tu roztrzą-

sać” itp. Jest w tych zwrotach dużo kokieterii, jest klepanie czytelnika po plecach i wciąganie go na siłę do jakiejś stwy tych, którzy „wiedzą lepiej” i nie muszą się swoją wiedzą dzielić z byle kim. Takie klepanie po ramieniu często przyjmowane jest jako towar-

cznie jest — jak przy podstuchanym fragmencie cudzej rozmowy telefonicznej — tylko echem prawdziwych informacji, prawdziwych rozmów, toczonych gdzie indziej?

Gdzie indziej — to znaczy gdzie? Na imieninach? W korytarzu podczas przerwy w na-

## PERSKIE OCZKA

radzie? Czy to tam należy zdobywać wiadomości, do których potem dziennikarz nawiaże z dwuznacznym perskim okiem: „z wiadomych powodów”?

W dyskusji o polskiej kampanii wrześniowej na łamach „Literatury” jeden z dyskutantów powiedział: „Czy Panowie, jako historycy, nie sądzicie, że nadeszła już wreszcie pora, w której należałoby powiedzieć, że prawda o Wrześniu może i powinna być już całą prawdą, powiedzianą do końca”? Czyli te setki napisanych tomów, te tysiące artykułów i wreszcie sama ta dyskusja o Wrześniu to wcale nie jest prawda, powiedziana do końca. Okazuje się, że historycy mają „całą prawdę”, ale trzymają ją dla siebie „ze zrozumiemych powo-

— Inna rzecz, że o prawdziwie różnie się w świecie gada. Michał Jagiello pisząc w „Nowych Książkach” o „Księdze Tatr wtórej” Jalu Kurka, twierdzi na przykład: „Najważniejsza jest prawda psychologiczna, przed którą prawdą historyczną powinna czasem ustąpić”. Nie wiemy, dlaczego „powinna”. Być może, że są po temu „wiadome powody”. Nie rozumiemy też, co to jest ta „prawda psychologiczna”. Zdawało się nam, że prawda jest tylko jedna — inaczej w ogóle nie ma o czym gadać. No, ale skoro ta psychologiczna istnieje i w dodatku jest najważniejsza, to też nie ma o czym mówić. Wystarczy dłużyć jeszcze głębiej we własnej psychice, nie zakłócając chaotycznymi a nieważnymi informacjami z zewnątrz.

CWIEK

HASŁO NUMERU: Nie jedź na cześć

## BEZ PRZESADY

Kupiłem sobie lampę naftową. Przyświeca zima, kiedy światło wyłącza. Jest to wprawdzie lampka naftowa stojąco-wozowa, która nazywa się ładnie „Jupiter”.

Kupiłem też miniszwywacz „Lilliput”. Taki miniaturowy przyrząd do zczytywania luźnych kartek papieru, jakoby ze spiaczki biurowych brakule, s maszynowa trzeba czynić słońce. Ten miniszwywacz wyprodukowały Szczecińskie Zakłady Materiałów Biurowych „Delfin”.

Zrobili słońce, bo to przyrządek przyrząd i można go nawet nosić w kieszeni. Mały w pokrowcu.

Zszywam sobie „Lilliputem”, aż skończyły się w nim metalowe zszywki. Chciałem więc nalać do niego ponownie „Lilliputa”. Obejrzałem orzeczki, ani tak, ani siak. W żaden sposób nie można było go zalać.

A przecież i tak się zalać. W sklepie też nie wiedzieli. Rozbrałem więc swój miniszwywacz na części i doszedłem do tego, jak się go łączy. Podzieliłem się z kolegami w sklepie, kiedy kupowałem drugi miniszwywacz „Lilliput”.

Wymówiłem u nas manie wyrosła. Byle czego w dokładne a nieraz wręcz bzdurne, instrukcje. To prawda. Ale bez przesady, moim panowie. Czasem taka instrukcja jest niezbędna. Tylko trzeba wiedzieć gdzie i kiedy. Ot i cała sztuka. ZYG. ZYG.

## Ze sportu

## CUD NA BOISKU

Cud taki zdarzył się w ubiegłym tygodniu (16 września 1979 roku) na jednym z boisków, gdzie mecz drużyny z Górnika Wałbrzych, meczu Olimpia z Wałbrzyskim Górnikiem. Tego dnia wiał nad boiskiem silny wiatr. Bramkarz Olimpii — Jerzy Brzęga — tak silnie wybił piłkę z własnej bramki, że ta ulesiona sprzyjałać wiatrem, niespodziewanie spadła przed bramkarzem Górnika Wałbrzych i poleciała do niego. Dzięki wiatrce i sile nóg Jerzego Brzęgi bramkarz Olimpia wystrzelił ten mecz z wynikiem 1:2.

Był to mecz testowy w ogóle, metoda dla naszych zmezonych strażników. Wystarczyło tylko ustawić za własną bramką bardzo silne dmuchawki, a cały mecz będąc rozrywany 20 bramkarz. Pozostałych 20 piłkarzy będzie się temu tylko przyglądać. To by było życie! Co?

K. I. RUC

Marek A. Jaworski, naczelny szatniowy skądinąd dwutygodnika „Kamena” (co, przypomnijmy, oznacza rzymską oznaczenie źródła, odpowiednik greckiej muzy, awierzył się na macierzystych łamach, że poza rubryką „Z notatnika” i inna stała pozycja, „Kaleidoskop”, nie przyłożył ręki do nr 18 czasopiśmiennic z 2 września br. Dlatego ciekawość, czy własna gazeta, pozawalona (chwilowo) dotychczasowego sternika, możemy zaspokoić ciekawość Marka A. Jaworskiego i stwierdzić, że nr 18 „Kamena” jest całkiem, całkiem a pozycja prawdziwie rewelacyjna (!!!) jest „Z notatnika”.

Rewelacyjność „Z notatnika” polega na tym, że red. M.A.J. wstąpił z żoną Teresą oraz suką Dianą do samochodu marki Fiat 126p i przejechał 600 km w ośmiogodzinnej podróży. A wszystko co orzekł, zapisał na łamach „Kolejki” i wstąpił do „To się nazywa miłość” i stwierdził (na łamach): „Wole nie myśleć”. Słowa dotyczyły rewelacji „Mistrz Spokazem” a Kutnem zobaczył autor „Kamena” jakiegoś Niemca, który ładował wózek fabryk (ogórków, pomidorów) do swego samochodu. Czyżby już za pasy na siemę? zadecydował M.A.J. Przed wrześniem Fiat 126p skreślił w prawo z M.A.J. znowu rewelacja zadecydował: „Tak, to ja września, słowna ze stralki dzieci, które wystąpiły przeciwko serm-

## REDAKTOR M.A.J. NA URLOPIE

nia”. Dalsze rewelacje to to, że w Niedźwiedziach wiosecie niedużym „uliczkami leżą traktory”. „Traktorem zagania się krowy do obory”. Za sensację należy uznać wiadomość, że „Mleko prosto od krowy smakuje znakomicie”. Cóż z tego skoro autor dostał biegunki, co wyrażone jest eufemizmem: „Później dało o sobie znać. Mieszkanie jest, niestety, nie skanalizowane”. Mimo to M.A.J. okazuje się gorącym patriotą: „J. no co tu le-

dzić do Bulgarii czy Grecji? Cudnie chwalić, swego nie znać — chciałoby się powiedzieć. Najpierw swoje poznać”. Okazuje się z dalszej lektury, że mimo tej deklaracji Marek A. Jaworski wyjechał za granicę: „Uzmysławiam sobie, że kilka razy byłem już w ZSRR, ale ani razu w Leninradzie. Będzie musiał kiedyś nadrobić zaległości”, odgraża się.

Następnie red. M.A.J. zażyczył red. Konradowi Olchowiczowi, który wspomnienia przeczytał, że tamten jako naczelny przesyłał w „Kurierze Warszawskim” do północy. Robi też do „Spółem” w Świdnicę donos na kelnerkę restauracji „Sirena”, która dopisała mu do rachunku 16 (słownie: szesnaście złotych). „Gdyby dyrektorka chciała się sprawą bliżej zainteresować, komunikuje, że siedziałem przy dużym stole w drukarni sali”.

Można więc bez przesady stwierdzić, że choć red. Jaworski przyłożył się bardzo skromnie do powstania 18 numeru „Kamena” i tak była to niedźwiedzia przysługa. Jaki stał moral? Redaktor (naczelny) powinien szybciej leżeć swoim Platem 126 p, a wolniej! (powiedzmy: z większym namysłem) pisać. Nie zawieszaj też od czasu do czasu kłopotliwych czwstaj zamiast mleka (prostą od krowy).

(J.D.)

Moja żona twierdzi, że nie mam poczucia humoru. A zaczęło się to od przyjęcia u naszych znajomych. Oboje uchodzimy za ludzi szalenie dowcipnych. Nasz znajomy zawsze opowiada najsłynniejsze dowcipy i naprawdę śmieszne anegdoty. Jego żona umie wytworzyć swobodną, żartobliwą atmosferę. Jednym słowem, są to ludzie życzliwi.

## MIROSLAW KUŹNIAK

## ŻONA

Tego dnia zebrało się w ich mieszkaniu doborowe towarzystwo. Równie często jak kłótnie, krzątały anegdoty, dowcipy, kawały. Goście dorównywali gospodarzom. Bawiliśmy się znakomicie. Pod koniec przyjechała żona szepotała mi do ucha:

— Nie siedź jak kłoda! Opowiedz coś dowcipnego!

Zmobilizowałem więc wszystkie swoje władze umysłowe, byczka zadzwoniłem w talerzyk i powiedziałem:

— Słuchajcie, moi kochani, opowiem wam znakomitą anegdotę. Otóż moja żona... eha cha cha... — wybuchnąłem trochę niespodziewanie śmiechem. Zawtórowali mi goście. Śmiech buchnął z nieposkromioną siłą.

— Józku, wychodzimy! — powiedziała nagłe żona.

Na ulicy zaczęła mi robić wymówki.

— Jak mogłeś... jak mogłeś o mnie mówić takie rzeczy!

— Ależ duszko, orzeczeń ja nie nie powiedziałem!

— Chami!

Nie odzywaliśmy się do siebie

przez dwa tygodnie. W końcu zapanowała między nami zgoda. Któregoś dnia otrzymaliśmy zaproszenie od naszych uroczych znajomych. Poszliśmy.

Bawiliśmy się znakomicie. Pan domu nie ustawał ani na chwilę w nalewaniu do kieliszków i opowiadaniu przepysznych dowcipów. Pod koniec przyjechał i ja zabrałem głos.

— Moi kochani opowiem wam znakomitą anegdotę.

Usłyszałem głos mojej żony.

— Józku, wracamy do domu! Na ulicy żona zaczęła płakać.

— Jak ty mnie traktujesz?! Takie rzeczy opowiadać o własnej żonie...

— Ależ duszko, ja jeszcze nie nie powiedziałem...

— Chami!

Nie odzywaliśmy się trzy tygodnie. Kiedy zapanowała między nami zgoda, postanowiłem za żadne skarby nie odzywać się do moich uroczych znajomych. Ale odeszliśmy do nich i nie będę twierdził, że to ja chciałem tam pójść. Tak zwykle, było szalenie przyjemnie. Gospodarz raczył nas nową osetką znakomych dowcipów, a goście dzielnie mu sekundowali. Pod koniec przyjechał wszyscy byli obolali od śmiechu.

Wszyscy — tylko nie ja. Siedziałem przez cały wieczór milcząc, nawet się nie uśmiechałem. Żona patrzyła na mnie dosyć dziwnym wzrokiem, powiedziała ochle:

— Józku wychodzimy!

Na ulicy zaczęła robić mi wymówki!

— Dlaczego siedziałem przez cały wieczór jak kłoda w płocie! Trzeba było coś powiedzieć, uśmiechnąć się, blyśnąć dowcipem...

— Ależ duszko, nie chciałem ciebie urazić! — odparłem z przekonaniem.

— Mnie?! — oburzyła się żona. — No wiesz? Pewnie znów chciałbyś wywlec nasze sprawy...

— Ależ skąd, jakie sprawy...? — Chami!

Od tej pory moja żona twierdzi, że nie mam poczucia humoru.

## FELIKS RAJCZAK

## AFORYZMY

Zadaje mi pytania dlatego, że wie.

Smierć mnie trzyma przy życiu.

Wolę wycieczki zagraniczne od wycieczek osobistych.

Z jaką prędkością dusza leci do nieba?

## ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

## FRASZKI TEATRALNE

F. P. SCHONTHAN — „PORWANIE SABINEK”

Dzientelmen nie da poznać nigdy po swej minie, gdy wypadnie mu porwać najbrzydszą z Sabinek.

B. SHOW — „ŚWIĘTA JOANNA”

Jak niepyszny poszedł między choć wytrzeźwił się z meczonki, publicznej krytyki!

O SOBIE SAMYM

Kawał pod-LECĄC

S. BECKETT — „CZEKAJĄ NA GODOTĄ”

Miast się wam palić w rękach robotą, to wciąż godota, godota, godota...

## NIE PALIĆ

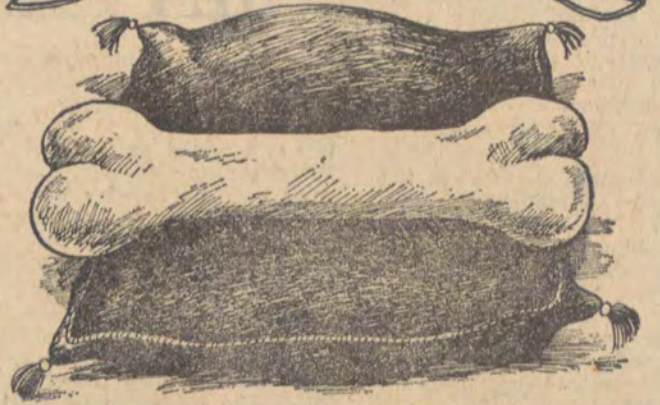
To nie polecenie, nie nakaz, to dobra rada, jaka swoim czytelnikom udzielił „Express Wieczorny”. Do tej pory lodzianie calicy palerow „Marlboro” kupowali je w Warszawie, jako że w Łodzi palerow tych nie było już od dwóch albo trzech lat. Można te było kupić tylko przez przynadek lub przez znajomości. Teraz — jak donosi „Ew” — nie ma ich już i w Warszawie. Nie ma też palerow „Caro”, „Carmen” i „Ekstra Mocnych” z filtrem.

Nie ma tych palerow — jak wyjaśniono „Expressowi Wieczornemu” — dlatego że nie ma za co sprowadzać tytoniów zagranicznych potrzebnych do produkcji tych palerow, a w przypadku „Ekstra Mocnych” z filtrem braknie maszyn dzięki którym można byłoby zwiększyć ich produkcję, aby móc pokryć zamówienie.

Dla nas nie to nowego. Łódzcy palacze już dawno przyczyniali się do tego, że co jakiś czas trzeba zmienić szatki palerow, gdy zabraknie ich na łódzkim rynku. Albo można skorzystać z rady „Expressu Wieczornego” i... nie palić. Ale to sprawy i tak nie rozwiąże. Kłopotu z słowy przemyśleń palerowem nie zdefiniuje. Chyba, że dojdziemy do tego, iż będzie mieli przemysł tytoniowy, który będzie produkował palerow. To jest też możliwe.

B. A. LACZ

## ROK JAKOŚCI



JA, KOŚĆ

Rys. Jan Zieliński

## LECZENIE SZOKIEM

Duże zainteresowanie opinii publicznej wzbudziły dwie, pozornie (pozożnie!) nie związane ze sobą publikacje „Dziennika Popularnego”. Oto w jednej z nich koledy donieśli, iż w stanie New Jersey (w USA), młocianych rozbiaków, przestępców in spa, a także tych, którzy mają wstępne efekty na przestępczej drodze, lecz się... szokiem. Młodzież taka kierowana jest w ramach „otwartych dni” do ciężkich więzień, w których zapoznaje się ją z warunkami pobytu, pracy itp. Rezultaty zdają się być rewalacyjne. Z trzech tysięcy młodych ludzi leczonych w ten sposób, ponad 90 proc. wyrzekło się raz na zawsze z tej drogi.

Informacja druga, to projekt (w czasie gdy „Załącznik” się ukazuje, chyba już zrealizowany) przeprowadzenia nadmiernych ilości ptactwa okupującego Park Moniuszki — przy pomocy megafonów, z których rozlega się ma, co pewien czas, autentyczny krzyk grozy szpaków.

Informacje te, powiązane ze sobą, stały się inspiracją do kilku śmiałych pomysłów, mających szansę, w przypadku ich realizacji, uregulowania wielu uciążliwych aspektów naszego życia społecznego. Oto pracowników handlu meblami, zwłaszcza magazynierów, będzie się kierować do innych miast, w których nie mają chodów, z zadaniem skompletowania urreżania mieszkania. Otrzymają testowe portfele z kwotami wyliczonymi co do złotówki, bez możliwości dawania w łapę. Warszawa, będą obsługiwana samochodami np. do Łodzi (i odwrotnie), aby przeprowadzić ich naprawy jako klienti. Za każdy dzień trwania naprawy ponad odpowiednią normę, doliczają się im będzie pewna ilość punktów karnych, które — gdy zbierze się ich zbyt wiele — uniemożliwią zatrudnienie w jakimkolwiek punkcie obsługi samochodów, a także utworzenie prywatnego warsztatu.

Inny projekt przewiduje odebranie samochodów służbowych przedsiębiorstwom komunikacyjnym (MPK, PKS, PKP). Wszyscy pracownicy tych przedsiębiorstw, począwszy od gońców, a skończywszy na dyrektorach i wyżej, będą musieli posługiwać się wyłącznie środkami komunikacji zbiorowej. Projektodawcy liczą na to, że po okresie kompletnie już dezorganizacji, spowodowanej tym przedsięwzięciem, komunikacja nasza rozkwitnie jak nigdy i stanie się ośrodkiem studiów wyspecjalizowanych z gend ONZ.

Itd. itp.

Przygotowuje się już specjalne nagrania autentycznych okrzyków grozy pracowników handlu meblami (a zwłaszcza magazynierów), stacji obsługi samochodów, dyrektorów MPK i in., lekarzy, budowlanych, pracowników handlu mięsem itd., itp. które co pewien czas będą się rozlegały z gigantofonów w odpowiednich miejscach, aby utwalić lecznicze działanie szoku.

KATORŻNIK

## OGŁOSZENIA DROBNE

Spółdzielnia Pracy

„RADOSNA TWORCZOŚĆ”

ogłasza przetarg nieograniczony na wykonanie następujących prac:

- Antykorozyjne zabezpieczenie płeców str. 5
- Regulacja myślników (automatyczna) str. 8
- Wbijanie kółków i kłitów (herbolesne) str. 3
- Regeneracja działalności str. 2
- Laktierowanie całotek (z polskiem) str. 1
- Wpłacanie wadium — całkowicie zbędne. Do przetargu mogą przystąpić osoby fizyczne, a zwłaszcza umysłowe.

WIESŁAW TRZASKAŃSKI

## MYŚLI, PODPATRZONE

- \* Głodnego nie nakarmi się jadłospisem.
- \* Czasami cisza staje się sygnałem alarmowym.
- \* Kto nie zna miary, ten nie powinien wymierzać sprawiedliwość.
- \* Powalony przeciwnik nie przestaje być niebezpieczny — można się o niego potknąć.
- \* Niektórzy wysiłki rozpoczynają się na strzelanie z bań.

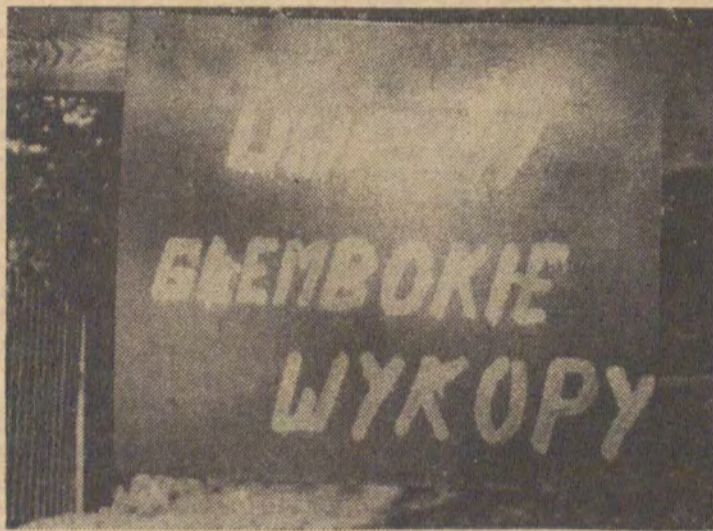


Foto: T. Soldenhoff

...Z ORTOGRAFIA NA DNI

